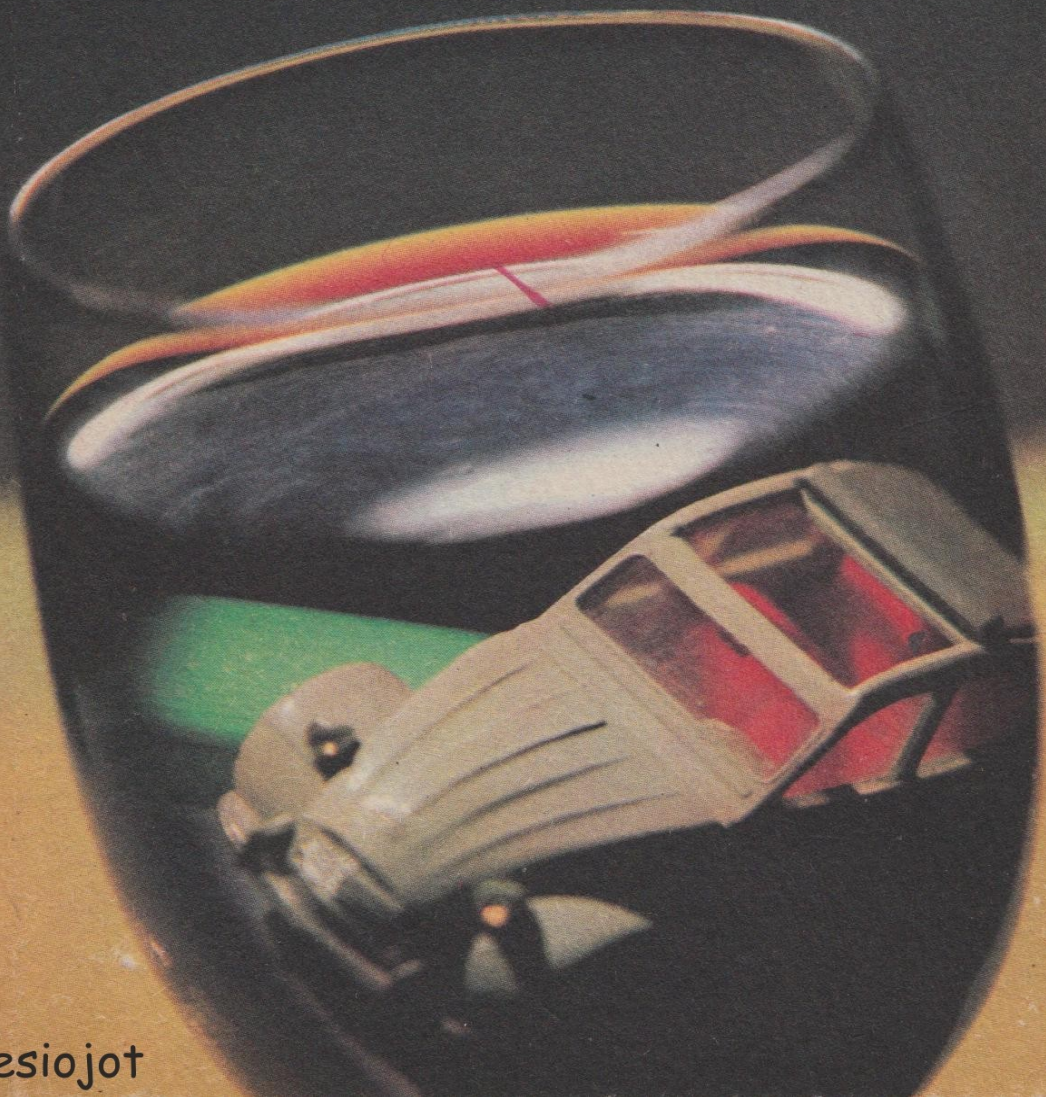


Frédéric Dard
Wypadek



lesiojot

Frédéric Dard

Wypadek

Przełożyła Maria Aleksandra Bagnowska

Krajowa Agencja Wydawnicza

*Marcelowi JAUREGUY
i wszystkim moim przyjaciołom
belfrom
te ponure wariacje
na temat ich szlachetnej profesji
poświęcam*

F.D.

*Pan Montjavoult
Sędzia Resortu Szkolnictwa,
Pałac Sprawiedliwości Privas
(Ardèche)
Szanowny Panie Sędzio,*

Niedawno zadał mi Pan w swoim gabinecie serię pytań, na które udzieliłam odpowiedzi wymijających i przyznaję - niepełnych.

Byłam skrepowana, a przyczyną tego - oprócz pańskiego starego kancelisty - był oschły ton przesłuchania. Sprawa, którą Pan prowadzi, dotyczy namiętności, wymaga przeto dokładnego rozpatrzenia dla wydania sprawiedliwego wyroku.

I właśnie dlatego postanowiłam napisać Panu to, co dalej nastąpi. Nie pominęłam żadnego szczegółu, opowiedziałam całą prawdę i mam nadzieję, że zdoła Pan ujrzeć ów dramat w jego właściwych wymiarach.

Po tym wstępie pozwalam sobie, Panie Sędzio, podać do pańskiej wiadomości następujące fakty:

Rozdział I

Myślałam, że będzie mnie oczekiwał, ale kiedy wysiadłam z pociągu, na stacji nie było nikogo. Poczekalnia - z wagą, drewnianymi ławkami i poodklejanymi afiszami - wyglądała raczej żałośnie. Niedbały urzędnik liczył paczki, pastwiąc się nad nimi niemiłosiernie; starowina, obstawiony dwiema tekturowymi walizkami, przyglądał mu się z obojętną miną.

Poprzez szyby okienek kasowych widać było ponure biuro naczelnika stacji, w którym pobrzmiwały dzwonki kolejowych urządzeń sygnalizacyjnych. Wszystko to wydało mi się mocno zniechęcające. Panował tu nastrój głębokiego opuszczenia: zrobiło mi się nieprzyjemnie, miałam wrażenie, że rozplývani się w tym burym i lepkiem otoczeniu.

Byłam jedynym pasażerem, który tu wysiadł, nikt nie zamierzał żądać ode mnie biletu, co - rzecz osobliwa - pogłębiało jeszcze moje przygnębienie.

Poprzedniego dnia dzwoniłam do szkoły w Glunoi, żeby zawiadomić o swoim przybyciu. Ponieważ dworzec był (według Michelina¹ odległy o cztery kilometry, miałam nadzieję, że mój kolega przyjedzie po mnie. Odezwał się głos kobiety. Układny i łagodny, nieco zbyt uroczy glos osoby nieśmiałej.

- Halo, słucham...

- Proszę pani, jestem nauczycielką mającą objąć zastępstwo i zawiadamiam panią...

Kobieta widocznie przycisnęła do siebie słuchawkę, lecz nie zasłoniła jej całkowicie, usłyszałam bowiem jak powiedziała do kogoś: „Julianie! To ta nowa!”

A „nowa” myślała, że wystarczyło zawiadomić: „Przyjadę pociągiem o osiemnastej dwanaście”, aby „Julian” oczekiwał na dworcu.

Przy torach kolejowych rozciągał się dość duży plac, gdzie stało kilka samochodów. Między dwoma platanami o liściach

¹ Wydawca przewodników turystycznych (przyp. tłum.)

poczerniałych od parowozowego dymu wznosiła się zamknięta w tej chwili jarmarczna strzelnica. Na drzwiczkach z falistej blachy jakaś niewprawna ręka namalowała białymi literami o czerwonych obwódkach: „Pod Odwaloną Kitą”.

Skoro żaden ze stojących na placu samochodów nie był przeznaczony dla mnie, ruszyłam w drogę pieszo, taszcząc moją ogromną walizkę.

Była pogoda, jaka zwykle bywa w okresie rozpoczęcia roku szkolnego. Powoli zbliżała się wilgotna szarość wieczoru. Byłam bardziej niż smutna - byłam zrozpaczona.

Na próżno szukałam w pamięci - nie mogłam sobie przypomnieć z mojego życia nic, co byłoby bardziej przykre niż to, co mnie tu spotkało. Całe moje jestestwo było zawarte w skórzanej walizce, którą niosłam w udręce wzdłuż bydlęcej drogi: wiła się ona bezlitośnie przez okolicę, którą byłam zdecydowana znienawidzić.

Droga ta z pozoru biegła przez równinę, ale kiedy po pewnym czasie zatrzymałam się, żeby odetchnąć, niespodziewanie zobaczyłam, że miasteczko pozostało nisko w dole. Upiększona z tej perspektywy stacja kolejowa przypominała makietę ożywioną świetlnymi sygnałami.

U kresu drogi spostrzegłam słup kilometrowy umieszczony - jak na urągowisko - na zakręcie. Kilometr przebyty na piechotę jest najbardziej realny ze wszystkich kilometrów. To właśnie on sprawił, że nasza planeta zachowała cały swój urok. Aby zrozumieć, czym jest czterdzieści tysięcy kilometrów jej obwodu, trzeba pokonać pieszo, dźwigając walizkę, przestrzeń od jednego słupa kilometrowego do drugiego.

Glinois: trzy kilometry

W głębi spalonych letnim słońcem łąk snuła się rzeka o brzegach strzeżonych przez wierzby.

Glinois: dwa kilometry

Było to pustkowie. Można tu było spędzić jedną noc, ale ludzi, którzy stąd nie pochodzili, a znaleźli się przypadkowo w jesiennej porze, musiało przyprawiać o neurastenię.

Glinois: jeden kilometr

Przed sobą zobaczyłam wieś. Na zwieńczonej nieruchomym

kogucikiem dzwonnicy kościoła igrało wspomnienie słońca zabłąkane w wilgotnym powietrzu, które tłumilo wiejskie odgłosy.

Zatrzymałam się, aby popatrzeć na scenerię, w której miało się toczyć moje nowe życie.

I wtedy ogarnął mnie jakiś lęk, ociężały i chłodny. Miałam ochotę wrócić na dół, do czerwonego wagonu ekspresu, który mnie wyrzucił w tej zapadłej dziurze.

Gdyby przynajmniej „Julian” mnie oczekiwał! Próbowałam go sobie wyobrazić: okrągłutki, gadatliwy nauczyciel, typowy belfer pogrążony w mdłym wiejskim spokoju, świadomy swego poczucia obowiązku i dumy z jego wypełniania.

Na skraju wsi znajdowała się stacja obsługi samochodów zbrojna w starą ręczną pompę benzynową. Jej znak rozpoznawczy stanowiło kilka porozwalanych wozów. Rząd kamiennych domów z masywnymi dachami ciągnął się stąd aż do wiejskiego rynku, który pełnił funkcje placu zarówno kościelnego, jak i ratuszowego. Na skraju, placu wznosił się, oczywiście odlany z imitacji brązu, pomnik ku czci poległych: poły płaszcza stojącego na nim żołnierza przypominały dwa skrzyżowane kaczę skrzydła.

Kościół był na lewo, merostwo na prawo. Między nimi znajdowała się poczta i kawiarnia z restauracją, której właściciel był prawdopodobnie republikaninem, skoro zdecydował się na nadanie swemu zakładowi nazwy „Pod Merostwem”.

Wszystko to było obrzydliwie konwencjonalne.

„Moja mała Franciszko - myślałam sobie - wpadłaś na całego...”

Od początku mego marszu główną (i jedyną) ulicą wsi czułam drżenie firanek w oknach. Obserwowano mnie. Zgadywano, kim jestem, i już próbowano wydawać o mnie sądy. Kiedy się oglądałam za siebie, widziałam zbyt pośpiesznie znikające postacie, które wychylały się z okien niczym obserwujący drogę maszyniści lokomotyw.

Miałam ochotę pokazać im język. Kiedy znalazłam się na wysokości balustrady otaczającej pomnik ku czci poległych,

spostrzegłam jakiegoś chłopaka - rudowłosego oberwanego głuptasa, który przyglądał mi się z pełnym spokojem bezwstydem. A że siedział na owej balustradzie okrakiem, był bardzo podobny do małpy.

Postawiłam walizkę w białym kurzu pokrywającym plac. Taki biały pył widuje się na drogach tylko tych okolic, do których nie zajrzała jeszcze cywilizacja.

- Gdzie jest szkoła?

Przez chwilę nie odpowiadał, zdumiony, że się do niego zwróciłam. Właśnie zamierzałam - w celu przywrócenia mu świadomości - powtórzyć pytanie, kiedy zorientowałam się, że mam przed sobą idiotę - albo jednego z wiejskich idiotów. Zlął ze swej grędy i zaczął się oddalać tyłem, jak gdyby spodziewał się zobaczyć, że siądę okrakiem na miotle i ulecę w mrok.

Drogą szedł człowiek w welwetowym ubraniu, prowadzący dziwny zaprzęg. Koślawy koń ciągnął ogromną, osadzoną na kołach beczkę, wydzielającą silny odór lichego wina. Żelazne obręcze kół hurkotały na kamieniach.

- Przepraszam pana, gdzie jest szkoła?

Twarz tego człowieka przecinały ogromne rude wąsy, tak sztywne i gęste, że sprawiały wrażenie przyprawionych. Czyżby w tym regionie wszyscy byli ryzowłosi?

- Na górze! - rzucił i przyśpieszył kroku, by dogonić swego konia.

Poszłam swoją drogą. Przeklęta walizka obrywała mi ramiona. Czując na sobie spojrzenie wąsacza, odwróciłam się i zobaczyłam, że rozmawia z jakimś ludźmi.

Wszyscy oni przyglądali mi się ukradkiem, podczas gdy potężny koń, chyba oszołomiony odorem płynącym z kadzi, do której był zaprzężony, ciężko uderzał kopytem o ziemię, podrzucając nisko opuszczonym łbem.

Wreszcie na końcu wsi zobaczyłam szkołę. Przypominała raczej fortecę niż budynek szkolny. Licea w miastach bywają mniej obszerne niż gminna szkoła w Glunois. Był to zbudowany z płaskich kamieni, jak wszystkie budowle w tej okolicy, piętrowy budynek o ogromnych oknach. W połowie z nich brakowało szyb...

Popchnęłam skrzypiącą bramę i od razu powitał mnie ten przejmujący, ostry i jedyny w swoim rodzaju zapach gminnych szkół. Mimo pustki, jaka tu panowała w okresie letnich wakacji, owa zwykła woń kredy, atramentu, szkolnych fartuchów, spleśniałego papieru i rozkładającego się moczu nie straciła nic ze swej intensywności.

Po okrążeniu gmaszyska wyszłam na duże podwórze, które sąsiadowało z krytym dziedzińcem, szeregiem ubikacji oraz ogrodem warzywnym, w którym suszyła się nędzna bielizna.

Na środku podwórza jakiś człowiek, obrócony do mnie tyłem, mył niebieski samochód 2CV. Słyszając moje kroki, odwrócił się i mogłam wtedy stwierdzić, że „Julian” jest zupełnie inny, niż go sobie wyobrażałam. Był to chudy czterdziestoletni facet o kanciastej twarzy. Krótko przystrzyżona, okalająca twarz broda miała za zadanie zmianę rysów, jakby zaczerpniętych z obrazów Bernarda Buffet. Ale ta ciemna broda i gęste, potargane włosy jeszcze tę twarz wydłużały. Oczy miał czarne i błyszczące, brwi równie zmierzwione jak czupryna. Ubrany był w połataną niebieską koszulę i spodnie z czarnego drelichu, a na bosych stopach miał zbyt obszerne sandały.

Przywołałam wspomnienie siebie idącej jak juczne zwierzę tą biegnącą pod górę drogą. Podczas mojej wspinaczki pan dyrektor pucował swój samochód! Trudno o większą gościnność!

Nawet nie drgnął, patrząc, jak się zbliżam. Ani cień uśmiechu nie rozjaśnił jego ponurej twarzy prowincjonalnego aktora grającego Chrystusa na Golgocie.

Kiedy znalazłam się o metr od niego, wyżał nad wiadrem, w którym pienił się detergent, ogromną gąbkę. Następnie potrząsnął głową na znak dezaprobaty i położywszy gąbkę na masce samochodu, wytarł ręce o spodnie.

- Dzień dobry - powiedział obojętnym głosem. - Czy miała pani dobrą podróż?

- Męczącą w jej końcowym etapie - odpowiedziałam zimno, stawiając ostentacyjnie walizkę między nim a sobą.

Spojrzał na nią, zainteresował się widniejącymi na niej nalepkami i w końcu zdecydował się na podanie ml wilgotnej

dłoni, jakby nadgniętej od moczenia w detergencie.

- Julian Avène.

Miał lekki akcent południowca. Musiał stamtąd pochodzić.

- Franciszka Cassel.

Obejrzawszy moją luksusową walizkę, która informowała o wygodnym niegdyś życiu, zainteresował się moim strojem. Było widać, że nie znalazł on jego uznania. Wyglądałam o wiele za elegancko jak na kogoś, kto przyjechał, by uczyć alfabetu mieszkańców jego wsi. Szczególnie zaniepokoił go karakułowy kołnierz mego kostiumu. Nie zwrócił uwagi na pochodzące od znakomitego szewca pantofle, niemal nie dostrzegł kroju kostiumu. Ale futro drażniło go. Karakuł zawsze robi wrażenie na ludziach, którym nie powodzi się zbyt dobrze, nawet wówczas, gdy jest go tylko osiemdziesiąt centymetrów kwadratowych.

- Czy to pani pierwsza posada? - zapytał.

Czułam, jak się czerwienię.

- Tak.

- To będzie zabawne!

Do tego momentu uważałam go za człowieka niezbyt uprzejmego, ale to odezwanie sprawiło, że oficjalnie zaliczyłam go do kategorii chamów.

- A więc trzeba sobie powiedzieć, że przez pewien czas będę - praktycznie rzecz biorąc - tyrał w dwóch klasach !

Na podstawie tego stwierdzenia zaklasyfikowałam go do nowo utworzonej kategorii - superchamów.

- Ile pani ma lat?

Brakowało tylko, żeby mnie zapytał, czy jestem jeszcze dziewczicą; w ten sposób za pomocą czterech pytań osiągnęłaby szczyt niedelikatności.

- Dziewiętnaście, a pan? - odparowałam.

Pobladł, a jego spojrzenie stało się lodowate. Zobaczyłam wyraźnie, jak opadają mu kąciki ust.

- Pani przybywa z miasta? - wymamrotał, jakby nagle odkrył źródło wszystkich moich przywar...

- Tak, studiowałam w Paryżu.

Jego wzrok znów błędził wśród loczków mojego

karakułowego kołnierza.

- Co panią skłoniło do pracy w szkolnictwie?

- Zostałam nagle postawiona wobec konieczności zarabiania na swoje utrzymanie, miałam za sobą połowę egzaminów...

Spostrzegłam, że moja połówka dyplomu wzbudziła w tym pełnym prymitywie jeszcze większą pogardę niż karakułowy kołnierz.

- A dyplom? - ucieszył się pan Avène.

- Zrobiłam go w lipcu.

Złagodniał nieco.

- Udało się?

- Zahaczyli mnie na ustnym ze zjednoczeniem Włoch, ale w sumie jakoś poszło.

W tym momencie jego spojrzenie powędrowało w kierunku pierwszego piętra. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam w oknie jakąś siwą kobietę.

- Czy to pana matka? - zapytałam.

- Nie, moja żona - wymamrotał przez zęby.

Chwyci! gąbkę i zaczął przecierać przednią szybę, mimo że nie było to wcale potrzebne. Trąc nią tak mocno, że rozległ się charakterystyczny pisk, rzucił:

- Niech pani wejdzie i pozna się z moją żoną. Pokaże pani mieszkanie.

Przyjęcie, jakie mi zgotował Julian Avène, dopełniło mego zniechęcenia.

Pograżając się w szeroki odrapany korytarz, stwierdziłam w duchu, że nigdy nie będę w stanie żyć w tym starym gmaszysku pozostającym we władaniu tego ^kwaszonego i zgryźliwego mruka. Z dwóch stron korytarza, naprzeciwko siebie, oszklone drzwi prowadziły do dwóch klas. Zatrzymałam się, patrząc z przestrachem na rzędy pulpitów pokrytych tatuażem napisów, na czarne tablice, na jasnokolorowe mapy, na których miękko rysowały się krainy geograficzne, a przede wszystkim na katedrę, na której miałam zasiąść.

Zdawało mi się, że oszklone szafy, w których stały książki obłożone w niebieski papier oraz kartonowe modele stożków, ostrosłupów i walców, zawierają narzędzia tortur.

Zastanowiło mnie pytanie mego „kolegi”: „Co panią skłoniło do pracy w szkolnictwie?”

A więc od pierwszego rzutu oka zauważyłam, że nie jestem stworzona do tego zawodu. Nie należałam do ludzi tego samego co on pokroju...

Na końcu korytarza znajdowały się kamienne schody z żelazną poręczą. Kiedy wspinałam się po ich stopniach, wydawało mi się, że prowadzą na szafot. Pachniało tu chlorkiem do bielizny i klasztorem.

Ona czekała na mnie na podeście.

Była to kobieta, która musiała zbliżać się do pięćdziesiątki. Zapewne była kiedyś blondynką, rysy jej twarzy zachowały charakterystyczną dla blondynek łagodność. Musiała być niegdyś piękna, a jej oczy miały jeszcze przejrzystość właściwą oczom pięknych kobiet. Miała na sobie różowy peniuar z połatanymi rękawami. Była ponad wszelką wątpliwość kobietą pracowitą, która odwaliała grubą robotę, wyglądając tak, jakby nic nie robiła. Była uprzejma i grzeczna. Ale przy całej łagodności cechowała ją jakaś stanowczość.

- Dzień dobry pani. Czy nie jest pani zbyt zmęczona?

Odniosłam wrażenie-, że oboje małżonkowie uważali za normalne, iż przyszłam pieszo. Tu każdy sam sobie dawał radę - tak nakazywało poczucie godności i honoru.

- Nie ma pani mebli?

- Nie.

- Pokój jest na szczęście umeblowany. To znaczy - jest łóżko. A w kuchni piec kuchenny.

Ciągle mówiąc, otworzyła drzwi naprzeciwko swoich. Uderzył mnie mdły zapach stęchlizny pomieszany z wonią cebuli.

- Proszę, niech pani wejdzie. Jest pani, jak to się mówi, u siebie...

U siebie!

Mieszkanie składało się z czterech ogromnych pomieszczeń, których wysokość przyprawiła mnie o zawrót głowy. Wydawały się tym większe, że - wyjąwszy pokój sypialny i kuchnię - były puste. W sypialni stało wiejskie łóżo, sięgające mi do piersi, przykryte pierzyną przypominającą zdechłego hipopotama.

Jedną ze ścian wypełniały z gruba ciosane drewniane wieszaki. Zniszczone wyplatane krzesło i skrzynia dopełniały umeblowania. W kuchni, oprócz pieca kuchennego z czarnego żeliwa i kamiennego zlewu (przypominał raczej kropielnicę niż zlew), zastałam jedynie drewniany stół, pokryty sparszywiałą ceratą, i pościągany drutem taboret.

Z sufitu zwisały niczym nie osłonięte żarówki: o ich dekorację zatroszczyły się w czasie wakacji pająki. Kiedy twórcy scenografii mają za zadanie, wywołanie w filmie 'posępnej atmosfery' nędzy, uciekają się zawsze do takich samych rekwizytów. Ale najbardziej genialny z nich nie byłby w stanie pełniej oddać smutku, którym tchnęło to opuszczone mieszkanie w starym gmaszysku w Glunois. Zapaćkane na brązowo ściany przejmowały bólem, a białe, wyłaniające się spod złuszczonej farby plamy, z których osypywały się drobiny gipsowego pyłu, sprawiały wrażenie ciekących ran. A ponadto unosił się tu zapach cebuli. Umieszczono ją na kuchennej półce, by wyschła, jednak zjadły ją szczury, pozostawiając tylko nędzne resztki rudych łusek, wystarczających wszakże dla utrzymania zapachu.

- Niezbyt tu wesoło, prawda? - zauważyła pani Avène.

Stara wydawała się tylko w zestawieniu ze swoim mężem, który musiał być od niej z piętnaście lat młodszy. Ponieważ nic na jej uwagę nie odpowiedziałam, spieszenie dorzuciła:

- Pani poprzednik mieszkał w hotelu „Pod Merostwem”, mieszkanie było więc przez ponad rok zamknięte.

Gdy je sobie pani urządzi, spojrzysz na nie innymi oczami... Jest... Jest bardzo słoneczne... Okna są duże i...

Umilkła, ponieważ w tym momencie zwałam się na taboret. Płakałam zasłaniając twarz obiema dłońmi. To wszystko przekraczało granice mojej wytrzymałości. Płakałabym nawet w obecności samego inspektora, gdyby się tu znalazł.

- A więc... No cóż... Proszę pani...

Ta kobieta miała głos bigotki, łagodny w swej chęci stworzenia pozorów współczucia, a jednak przez ten cierpiętniczy ton przebijała jakaś ostra nuta.

- Proszę o wybaczenie... To moja pierwsza posada i...

- Rozumiem. Ale zobaczy pani, jaka to miła okolica. Czy mieszka pani daleko stąd?

- Moja matka mieszka w Tournon...

- Będzie pani mogła dość często ją odwiedzać.

Potrząsnęłam głową, nie mogłam już mówić, bo dusiły mnie łzy.

- To przejdzie - zapewniła żona mego kolegi. - Tak samo było, gdy miałam potworny ból zębów i zaaplikowano mi aspirynę. Zostawiam panią, niech się pani jakoś urządzi.

Urządzić się!

W mojej walizce była tylko bielizna, ale zupełnie nie wiedziałam, gdzie mogłabym ją schować. Przez chwilę miałam ochotę zrobić tak jak mój poprzednik i załatwić sobie mieszkanie wraz z utrzymaniem „Pod Merostwem”, nie pozwalał mi jednak na to brak pieniędzy. Wyjeżdżając z domu wzięłam tylko kilka mizernych banknotów, które mogły wystarczyć na zakup artykułów pierwszej potrzeby w okresie oczekiwania na koniec miesiąca i pierwszą pensję.

Pani Avène wyszła. Zostałam sama z pajęczynami i zapachem cebuli.

Widocznie powiedziała o wszystkim swemu mężowi, bo po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Odgłos ten brzmiał jak kopanie w ściany wielkiej skrzyni: wibrował i niósł się przez wielkie, puste pokoje mogące pomieścić pracownię tkacką.

Nie miałam siły odezwać się. On jednak wszedł. Na jego brodzie widniały bryzgi piany, jakby rozpoczął golenie.

Zbliżył się i patrzył na mnie. Nic nie mówił.

Jedna powieka nieco mu opadła, a przez zarost jego brody spostrzegłam, jak unosi się kącik ust. Jego twarz stała się przez to jeszcze bardziej asymetryczna. Ponieważ ciągle nic nie mówił, usiłowałam ukryć moją rozpacz.

- Słucham.

Podrapał się w szyję.

- Nauczanie całkowicie upada - oznajmił zamiast pocieszenia.

- Angażuje się byle kogo i byle jak... Stanowiska nauczycieli powierza się dzieciakom, małym dziewczynkom, które kierują się emocjami.

Wydawało mu się, że jest na zjeździe nauczycieli. Sposób bycia niewydarzonego trybuna, który upaja się frazesami wygłaszanymi wobec niewybrednego audytorium. Jeszcze nigdy nie nienawidziłam żadnego z moich bliźnich tak bardzo jak tego człowieka.

Patrzyłam na niego przerażonym wzrokiem. Ten facet zamiast serca miał chyba kawałek marmuru, skoro przyszedł w takiej chwili, by wygłosić przede mną tę swoją perorę.

Oparł się o ścianę i zaczął oglądać swoje ręce, zniszczone podczas mycia samochodu - piękne, wysmukłe, delikatne ręce pianisty.

- Idę o zakład, że jest pani tatusiną córeczką i że chce pani stworzyć własny styl pracy, tak jak przy grze w tenisa, hm?

Moja wściekłość przewyższała moje cierpienie.

- Kto panu pozwolił mówić do mnie w ten sposób, panie dyrektorze?

Położyłam nacisk na słowo „dyrektorze”. Moją emfazą chciałam dać do zrozumienia, jak śmiesznie mało znaczył ten tytuł w odniesieniu do takiej szkoły, jak właśnie ta w Glunois. Dyrektor czego? Dwóch nędznych klas miejscowych gnojków! Czyj dyrektor? Rozbisurmanionej dziewczynki, jak sam powiedział.

Potrząsnął głową.

- Mój wiek - powiedział.

Zrozumiałam wówczas, że dla tego człowieka, żonatego z kobietą starszą od niego o piętnaście lat, wiek był wyznacznikiem pozycji życiowej. W jego pojęciu o prawdziwej hierarchii decydowały daty urodzenia. A ponieważ był starszy ode mnie, prawo było po jego stronie.

Sądząc, że tymi dwoma słowami przekonał mnie o swej racji, zagadnął znienacka:

- Czy chodzi pani na mszę?

- Czyż te czterdzieści kilka patyków, które państwo we mnie włożyło, zobowiązują mnie do tego?

Zirytowany, wzruszył ramionami.

- Chodzi pani czy pani nie chodzi?

- Nie chodzę.

Odniosłam wrażenie, że poczuł ogromną ulgę.

- Tym lepiej. Patrząc na panią, mogłem przypuszczać, że jest inaczej.

- Dlaczego? Czy wyglądam na taką, co trzyma się księżej sutanny?

- Wskazywała na to pani elegancja.

Biedny pocziwina! W gruncie rzeczy był bardziej naiwny niż ci nicponie, których usiłował nauczyć ułamków dziesiętnych.

- Czy po to, aby być nauczycielką, trzeba się ubierać w „Uniprix”?²

- Gdzie?

Było oczywiste, że gnijąc od lat w tej potwornej, zapadłej dziurze, nie wiedział nawet, co to jest „Uniprix”. Mówiliśmy różnymi językami. Niemniej zaświtała mi możliwość wyjaśnienia sprawy.

- Niech pan posłucha, panie dyrektorze...

Strzelił palcami, jak to pewnie robił w klasie, gdy chciał przyciągnąć uwagę swoich uczniów.

- Może mnie pani nazywać Avène.

- Nigdy bym się nie ośmieliła - powiedziałam bez uśmiechu.

Po czym podjęłam: - Niech pan posłucha, panie dyrektorze, widzę, że niepokoi pana mój sposób ubierania się. Przynajmniej panu, że od jutra przedzierzgnę się w wiejską nauczycielkę. Niemniej chcę uspokoić pana obawy: nie jestem ani nigdy nie byłam, naprawdę bogata, odwrotnie - jestem wręcz biedna. Mój ojciec odszedł od mojej matki, kiedy miałam cztery czy pięć lat. On miał forszę, ale dawał nam tylko tyle, ile potrzeba było na dostatnie życie. Po pół roku umarł. Wówczas okazało się, że praktycznie rzecz biorąc był zrujnowany, więc nasze źródło dochodów wyschło. Moja matka, która nie jest zdrowa, przeniosła się do odziedziczonego po swych rodzicach mieszkania w Tournon. Żeby ją wyżywić, postanowiłam się poświęcić pańskiemu szlachtetnemu zawodowi. Być może, że nie jestem do niego stworzona, przyszłość to pokaże. Jest prawdą, że nie jestem do niego przygotowana. Moje obecne

²Uniprix - popularne magazyny m. in. z taną konfekcją (przyp. tłum.)

stroje? Zobacz pan, jak się szybko znoszą. Nic nie niszczy się równie prędko jak nie uzupełniana garderoba.

Avène przesunął ręką po brodzie, która zabawnie zaszeleściła.
- Przepraszam panią - powiedział w końcu. I wyszedł.

Myślałam, że przyjdzie jego żona i wszystko zakończy się przy ich stole. Pochodziłam z domu, w którym ludzi przybyłych o siódmej wieczorem z podróży zapraszało się na obiad. Ale ani jedno, ani drugie nie odezwało się na temat wieczoru.

Oparta plecami o lepką ścianę kuchni myślałam o upływającym czasie. Dochodziły do mnie słabe dźwięki radia. Avène'owie słuchali audycji na temat spraw europejskich. Może właśnie dlatego, że nie chcieli się jej wyrzec, skazali mnie na umieranie z nudów w mojej parszywej jamie?

Po pewnym czasie zdecydowałam się przejść po pokoju. Wiedziałam, że już nie przyjdą.

„Stara” zatroszczyła się jednak o przygotowanie mi łóżka.

Zwinęłam się w kłębek pod monstrialną pierzyną. Bezdłownie rozmyślałam o tym, że ludzka rozpacz nie jest niezgłębiona i po osiągnięciu dna można się już tylko wynurzyć na migotliwą powierzchnię. Trzeba jedynie poczekać.

Zgasiałam światło. W ogromnym oknie zasiadła jasna noc. Niebo było usiane gwiazdami. Wydawało się, że w Glunois jest ich więcej niż gdziekolwiek indziej. Nietoperze przelatywały tuż koło okna. Niekiedy uderzały ohydnymi skrzydłami o szyby: wydawały mi się zwiastunami ponurych wydarzeń'.

Rozdział II

Obudził mnie głód.

Bogu dzięki, była przepiękna pogoda. Pokój pozostał ponury, ale uleciał zeń ów złowróżbny nastrój. Spojrzałam na zegarek - była siódma. Zrobiłam „dwunastogodzinny obrót” - żeby użyć ulubionego wyrażenia mojej matki. Żołądkiem szarpały potworne kurcze, ale głód pobudził moją energię.

W pośpiechu, byle jak umyłam się nad zlewem, po czym wyjęłam z walizki beżową spódnicę, białą bluzkę i rudą

skórzaną kurtkę. Dla Avène'a byłam chyba jeszcze za elegancka!

Kiedy wychodziłam, z jego mieszkania nie dochodził żaden szmer. Widocznie skorzystał z ostatniego dnia wakacji, żeby oddać się nieróbstwu.

Zeszłam do centrum wsi. W promieniach słońca wyglądała korzystniej, a widok kowala przy pracy przyprawił mnie nawet o pewne wzruszenie. Zawsze byłam wrażliwa na ten typowo wiejski widok i rozchodzący się po całej okolicy ostry zapach przypalanego kopyta.

Kawiarnia „Pod Merostwem” była otwarta. Była to izba z niskim pułapem, o ścianach wyklejonych niesamowitą tapetą, na której widniały sceny łowieckie. Na lewo od wejścia wznosił się kontuar i bilard pokryty pleśnią. W migotliwym półcieniu ciągnęły się nienagannie i uporządkowane rzędy starych drewnianych stołów pociągniętych woskiem.

Usiadłam w głębi sali, pod trójkolorową skarbonką przeznaczoną na „datki dla szkoły”. A więc coś z mojej branży! Czekałam. Na zewnątrz gdakały kury, a jakiś mężczyzna z sąsiedztwa obrzucał kogoś stekiem przekleństw.

Wreszcie otworzyły się drzwi od izby na zapleczu, przepuszczając grubą kobietę, opasaną mokrym fartuchem. Włosy miała szesane i zebrane na karku w gigantyczny węzeł. Jej czerwone policzki lśniły jak jabłka, a lękliwy i spłoszony wzrok z trudem wytrzymał moje spojrzenie.

- Czy mogę zjeść śniadanie?

- Kawa z mlekiem?

- Tak. I chleb z masłem.

W chwilę później stawiała przede mną dzbanek z kawą, garnek pełen mleka, bochen chleba i osełkę prawdziwego wiejskiego masła.

Natychmiast zapomniałam o moich zmartwieniach, oddając się bez reszty myśli o tym zdrowym jedzeniu, mającym zaspokoić mój wilczy głód. Miałam nadzieję, że oberżystka pozwoli mi pożywić się w spokoju, ale nie usadowiła się za kontuarem, by mi się do syta przyjrzeć.

Zaledwie wzięłam się do jedzenia, otworzyły się drzwi. Byłam

zaskoczona zobaczywszy wchodzącego Avène'a. Miał na sobie zielonkawę spodnie z welwetu i połatany sweter, jaki noszą marynarze. Nie zauważył mnie, stanął przy kontuarze, tyłem do mnie.

- Cześć!

Mój dyrektor był najwidoczniej stałym gościem w tym lokalu, bo grubaska bez słowa postawiła przed nim kieliszek i napełniła go czerwonym winem. Na myśl o takim napoju o tej godzinie ścierpły mi zęby. Oberżystka usiłowała uprzedzić Avène'a o mojej obecności, ale ten stał zwrócony twarzą do drzwi i patrzył w kierunku placu.

- Dostałem wczoraj wieczorem tę nową, fajna dziewczyna -- powiedział po chwili zadumy.

Zaniósł się diabolicznym śmieszkiem, podniósł swój kieliszek i wypił. Mimo że stał do mnie tyłem, spostrzegłam, iż jego ręka drżała.

Oberżystka w dalszym ciągu robiła rozpaczliwe wysiłki by mnie zauważył. Tym razem spostrzegł to i odwrócił się. Odniosłam wrażenie, że mój widok ani go nie zaskoczył, ani nie rozgniewał. Odstawił pusty kieliszek i podszedł do mnie miarowym krokiem, z niepewnym uśmiechem czającym się w kącikach ust.

- No co, dziewczyno, podkarmiamy się?

Zrozumiałam, że należy w stosunku do niego zastosować jego własną taktykę:

- Nawet będąc fajną dziewczyną, trzeba coś wrzucić na ruszt.

Zmarszczył brwi jak zwykle, kiedy mu stawiałam czoło.

- Och, dotknęło to panią?

- Ani trochę.

- Nie miałyby pani racji. A zresztą to prawda: nie jest pani banalna.

- Dziękuję.

- Prędko ma pani zamiar wracać?

- Jak tylko skończę śniadanie.

- Bo rozumie pani - dodał - trzeba jednak, żeby panią we wszystko wprowadził.

- Oczywiście.

Wzruszył ramionami i wrócił do kontuaru; rzucił monetę, po czym wyszedł, nie mówiąc ani słowa do właścicielki lokalu.

Skończywszy posiłek, udałam się do miejscowego sklepu. Kupiłam mydło, emaliowaną miskę, kilka wieszaków do ubrania i trochę szynki na drugie śniadanie. W piekarni kupiłam chleb i wróciłam do szkoły.

Avène był już w swojej klasie. Siedział przy stole, a przed nim piętrzył się stos zupełnie nowych przyborów szkolnych. Widząc, że przechodzę, dał znak, abym weszła. Pokazałam mu moje zakupy i poszłam dalej w kierunku mego „zbytkownego mieszkania”. Złożyłam sprawunki na kuchennym stole i wróciłam do klasy. Odczuwałam lęk przed tym „zawodowym” spotkaniem. Miałam wysłuchać tego, co mi Avène powie, podporządkować mu się, ale wiedziałam, co z tego dla mnie wyniknie.

Zszedł z katedry i usiadł w jednej z ławek w głębi klasy.

- A więc jest pani? - rzucił w moją stronę.

- Tak, proszę pana.

- Powinna pani nosić fartuch: w takiej klasie zasrańców człowiek brudzi się jak w fabryce. Zresztą to jest fabryka! Przekona się pani!

- Nie mam fartucha!

- Tak sądziłem. Niech więc pani kupi!

- Tak, w przyszłym miesiącu, proszę pana.

Popatrzył na mnie, zrozumiał i powiedział:

- Tymczasem Marta pani pożyczy.

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego?

- Nie noszę rzeczy, które nie są moją własnością.

Nawet nie drgnął na moją zjadliwą odpowiedź. Wydawał się nie tak skłonny do kłótni i mniej złośliwy niż w przeddzień. Tego ranka robił wrażenie raczej rozczarowanego.

- Niech pani usiądzie, to jest pani klasa.

- Sądziłam, że to pańska.

- Z powodu?

- Siedział pan przy moim stole.

- I dalej będę przy nim siedział. Klasa to nie fartuch.

Moja odmowa niewątpliwie dotknęła go. Po raz pierwszy od mego przyjazdu zaproponował mi coś, a ja odrzuciłam jego ofertę.

- Zajmie się pani klasą maluchów, program: alfabet i siusiu. A poza tym podstawowy kurs historii pierwszego roku nauczania, czyli Francja do Henryka IV!

Ożywił się- Mimo swobodnego stylu bycia sposób, w jaki mówił o tych sprawach, świadczył o tym, że lubi swój zawód. ,

- Według moich wstępnych obliczeń przypadnie pani dwudziestu czterech łobuziaków. Okrągła liczba! Wśród nich wiejski idiota. Ma czternaście lat, ale nie mogę włączyć go do starszych, bo mu płatają figle. Jeśli idiota przekracza ustalone granice, istnieje tylko jedna metoda: lanie.

Umilkł na chwilę, a jego spojrzenie zamgliło się. Poprzedniego wieczoru, gdy byliśmy w mojej kuchni, zauważyłam u niego podobny nagły odpływ energii. Miało to więc podłoże fizjologiczne.

- No cóż - westchnął - idźmy dalej.

Moje obawy były niesłuszne. Pod względem zawodowym był wprost znakomitością. Miał dar jasnego formułowania myśli, cechę tak bardzo cenną dla człowieka, który poświęcił życie pracy pedagogicznej. W ciągu kilku godzin zapoznał mnie z pracą, wprowadził w jej tok, wskazał najlepszą metodę przygotowania się do lekcji, opisał uczniów, określając poziom intelektualny każdego z nich.

- Przede wszystkim konieczne jest poznanie ich nazwisk. Jeśli te brudasy zorientują się, że pani ich nie rozróżnia, wykorzystają tę swoją chwilową anonimowość i pokażą pani gdzie raki zimują. Ma pani dobrą pamięć?

- Tak sędzę.

- Tym lepiej i życzę pani, by tak było. Szkoda, że nie nosi pani okularów.

- Dlaczego?

- To by pani dodawało powagi. Widzi pani, wygląda pani bardziej na uczennicę niż na nauczycielkę...

Był to pierwszy komplement, jaki mi powiedział, ale w jego pojęciu był to raczej zarzut.

- Niech pani od razu będzie sroga, dobrze? I niech pani nie boi się wytargać ich za włosy. Jesteśmy(na, wsi. Tu się dzieciaki bije, a psom pozwala zdychać z głodu...

Kiedy skończył swoje wyjaśnienie, pomógł mi ustawić pomoce szkolne w dużej oszklonej szafie ściennej.

Na samej górze był w niej wydzielony schowek, w jego drzwiczkach tkwił zamek. Kiedy Julian Avène rozpakowywał paczkę z zeszytami, weszłam na krzesło i otworzyłam owe drzwiczki zrobione z masywnego drewna. Spodziewałam się tu znaleźć wycofane z użytku stare książki, zdumiałam się więc, zobaczywszy puste butelki.

- Niech mi pan powie, panie Avène, do czego służą te wszystkie butelki?

Zaczerwieniony, zerwał się na równe nogi.

- Przypuszczam, że to są stare butelki po atramencie - wyjąkał.

Bawiło mnie jego zmieszanie. Jakaś złośliwa radość nakazywała mi wykorzystanie sytuacji.

- Gdyby to były butelki od atramentu, szkło byłoby zabarwione. A poza tym, czy miałyby takie etykiety?

Zaczęłam czytać głośno i powoli:

„Le Cep Génèreux” moc 11°

Wino z Piwnic Jordin. Valence - Drôme

Nic nie odpowiedział i dalej rozpakowywał paczkę. To odkrycie utwierdziło mnie w moich podejrzeniach: Avène pił. I jak wszyscy prawdziwi pijacy, pił po kryjomu. Te potajemnie opróżnione butelki ukrył w cudzej klasie. Był niewątpliwie tropiony przez swoją żonę. Pomyślałam sobie, że tym, który dysponował schowkiem, musiał być mój poprzednik.

Policzyłam butelki. Było ich dziewiętnaście.

- Któregoś dnia, jak pańskiej żony nie będzie, powinien pan zwrócić te butelki - powiedziałam szeptem - szczególnie jeśli dał pan za nie zastaw. To są pieniądze. - Wzięłam krede i podeszłam do tablicy. - Zastaw wynosi dwadzieścia pięć franków, prawda? - Napisałam na tablicy liczbę dwadzieścia pięć, pod nią dziewiętnaście ze znakiem mnożenia i wykonałam działanie. - Otrzymujemy czterysta siedemdziesiąt pięć

franków. Przy założeniu, że litr*kosztuje sto franków, może pan za tę sumę kupić cztery butelki. Za cztery puste butelki uzyska pan znowu jedną pełną. Jeśli do pozostałej sumy siedemdziesięciu pięciu franków dołoży pan zastaw za tę ostatnią butelkę, kupi pan znowu jeden litr - już szósty. W rezultacie zamiast dziewiętnastu pustych butelek może pan mieć sześć pełnych.

Myślałam, że zaraz wybuchnie. Zmarszczył czoło i nerwowo tarł brodą.

- Chyba panią źle oceniłem na początku - powiedział wreszcie głosem, któremu usiłował nadać brzmienie pewności. - Będzie pani niewątpliwie dobrą nauczycielką, dowodzi tego pani wykład.

Następnie bez słowa wrócił do rozpakowywania nowych zeszytów; byłam zażenowana. Jeśli poznałam jego słabość, jakim prawem zabierałam głos w tej sprawie?

Niech każdy żyje po swojemu, jak często z długim, pełnym rozczarowania westchnieniem mawiała, moja mama.

Przez cały dzień właściwie nie rozmawialiśmy więcej ze sobą. Pod wieczór pojawiła się jego żona. Dotychczas słyszałam, jak drepcze mi nad głową, ponieważ moja klasa znajdowała się akurat pod ich mieszkaniem. Zastąpiła swój okropny różowy peniuar szarą suknią z koronkowym żabotem. Można było dostać mdłości, tak zalatywała prowincją. Wyglądała nie tak szaro jak wczoraj. Najwidoczniej postarała się o to, świadczyła o tym szminka do ust i ryżowy puder.

Nie wiem, skąd brała swoje perfumy, ale ich zapach kojarzył mi się z podmiejskim salonem fryzjerskim.

Jej mąż był w swojej klasie, ja w swojej. Przez chwilę, idąc korytarzem, przypatrywała się nam kolejno, to jemu, to mnie, zanim zdecydowała się zapukać do moich drzwi.

- Jak tam, przygotowania zakończone? 1

- Tak, proszę pani.

- A więc trzeba to uczcić. Proszę przyjść na kropelkę aperitifu...

Poszliśmy razem. Zawołała swojego męża i gęsiego weszliśmy po schodach do jej mieszkania.

Było takie samo jak ona. Pachniało tu dosytem, dobrą kuchnią i wyprasowaną bielizną. Było obrzydliwie banalne - z meblami z wyprzedaży („Nasza reklama miesiąca, 10 procent zniżki”), z abażurami z pereł, z kolorowymi ilustracjami wyciętymi z magazynów i oprawionymi domowym sposobem, ze zrobionymi z blachy miedzianej osłonkami na doniczki, z haftowanymi serwetami, z aparatem radiowym, który wyglądał, jakby pochodził z czasów poprzedzających wynalezienie radia, z zatkniętymi za szyby kredensu rodzinnymi zdjęciami.

Oczekiwała komplementu, na który nie potrafiłam się zdobyć. Z dwojga złego wolałam moje mieszkanie, puste i odrapane. Miało przynajmniej jakiś charakter. Było ponure, ale niczego nie udawało.

Na tacy w stylu określanym jako „artystyczny” lub „dekoracyjny”, takiej, jakie są rozdawane jako reklamówki, a w wykazach fantów przeznaczonych na kiermaszowe loterie figurują w rubryce „dzieła sztuki”, stała butelka bez etykiety, wypełniona żółtym płynem przypominającym mocz.

- Czy pani lubi, panno Cassel, pomarańczowe wino?
- Nigdy go nie piłam.
- Sama je robię...

Kiedy mi wspominała na dole o aperitifie, od razu pomyślałam, że chodzi o jakąś miksturę jej własnego wyrobu. Była kobietą „z przepisami”.

Nalała mi pełniutką szklankę, sobie kilka kropel i skierowała się w stronę swego męża.

- Ja wolę łyk czerwonego wina!

Zachmurzyła się.

- Julianie!

- Tyle się dziś nałykałem kurzu... - unikając natarczywego wzroku żony, wziął z kredensu butelkę Cep Génèreux i kieliszek.

- Smakuje pani moje pomarańczowe wino?
- Szalenie.

Pochwyciłam kpiące spojrzenie Juliana Avène'a.

- Zalewam skórki pomarańczowe wódką z wytłoczn

winogronowych. Po trzech miesiącach, kiedy się zmacerują, wlewam to w dobre białe wino...

- Ach! - pisał Avène.

Jego żona zmarszczyła brwi.

- Nie wlewa się „w”. Wlewa się „do”...,

Jej pełna powściągliwości twarz zachmurzyła się. Zwracając się do mnie, zapytała:

- Chce pani sprowadzić tu meble?

- Nie.

- To jak się pani urządzi?

- Dam sobie rudę.

Opróżniłam swoją szklanę. Jej mikstura miała okropny smak. Dominowała w niej zdecydowanie „winogronówka”. Po kilku sekundach poczułam palenie w żołądku.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziałam - muszę pójść na wieś po zakupy.

Wyszłam bardzo szybko, unikając podania im ręki. Sama nie wiedziałam dlaczego, ale ta niedobrana para budziła we mnie wstręt.

On kochał tylko swój zawód i czerwone Wino. Ona kochała jedynie swojego męża i swoje konfitury.

We wsi kupiłam bułkę i czekoladę. Zjadłam je wśród pól. Był to mizerny posiłek, ale moje zasoby nie pozwalały mi na nic więcej. A poza tym osławione pomarańczowe wino odebrało mi apetyt.

Przez ponad godzinę błądziłam po kamienistych drogach snujących się wśród sadów i winnic. Winogrona były dojrzałe, a winnice gotowe do bliskiego już Winobrania.

Ostatecznie okolica nie była najgorsza. Kwestia przyzwyczajenia się. Każda kraina ma swoisty czar, któremu powoli się poddajemy. Najlepiej zachować się tak jak na sali operacyjnej, kiedy nas usypiają, rozprężyć się, oddychać spokojnie, głęboko i ufnie czekać na to, co nastąpi...

Kiedy wróciłam do szkoły, Avène siedział na krytym dziedzińcu. Zapadła noc i jego postać zaledwie rysowała się w mroku. Był oparty o jeden z filarów krytego dziedzińca i palił glinianą fajczkę. Ta fajka, tak samo jak broda, były elementem

uznanego przezeń wzorca estetycznego.

Pozował na artystę. Artystę, którego czas przeminął...

Byłam przekonana, że gdy popił, zaczynał filozofować i wchodzić w rolę zapoznanego geniusza.

Miałam właśnie wejść do budynku, kiedy rzucił mi zapraszające „No cóż”. Podeszłam. Po raz pierwszy zobaczyłem kryty dziedziniec.

Był malowniczy. W głębi Avène przechowywał swój samochód, osłonięty pokrowcem rozpiętym na drewnianym stelażu. Wzdłuż prawej ściany piętrzyły się klatki z okratowanymi drzwiczkami; dochodził z nich tupot króliczych łapek i chrupanie marchewki.

- Czy widziała pani hodowlę mojej żony?

Zbliżyłam się do klatek.

- Uwielbiam zapach króliczego nawozu - stwierdził Julian Avène. - Nie potrafię pani wyjaśnić dlaczego, ale ta woń działa na mnie silniej niż subtelne perfumy. Uwielbiam zresztą i króliki. Obok listonoszy to najmiłsze stworzenia na tej ziemi... Wcinają tylko i tak szybko się parzą! Mówię oczywiście o królikach, bo nie znam się, niestety, zupełnie na życiu seksualnym listonoszy!

Był pijany. Nie kompletnie, ale wystarczająco, aby stać się gadatliwym i pleść co ślina przyniesie na język.

- Słyszysz pani, jak chrupią marchew? O, te króliki to porządne stworzenia! A propos, a pani coś jadła?

- Tak...

Jego oczy złośliwie błyszczały w półmroku. Pociągnął z fajeczki, wydając dźwięk przypominający wciągnięcie przez słomkę ostatnich kropli oranżady z dna szklanki.

- W kawiarni „Pod Merostwem”?

- Nie.

- Kłamczucha! Nie ma innych lokali!

- Kazałam sobie zrobić kanapki...

- Gdzie?

- W piekarni.

Roześmiał się szydlerczo.

- Dwie kromki chleba przełożone jeszcze jedną kromką

chleba?

Zirytowana, odwróciłam się tyłem, ze słowami:

- Dobranoc, panie Avène.

Wówczas krzyknęła przez zęby zaciśnięte na ustniku fajki:

- Hej, niech pani zaczeka...

- Chciałabym się położyć, jutro będzie ciężki dzień.

- Ach, tak... Pogotowie bojowe! Widziałem kiedyś coś takiego.

Były konie, przypominam sobie. Teraz już się nie walczy konno, a szkoda! Teraz skacze się ze spadochronem! Czy pani myśli, że pani spadochron otworzy się jutro, co? Bo jeśli nie, potłucze się pani i ucierpi na tym jej piękna figura! A jeśli się nawet otworzy, może pani doznać obrażeń od wroga. Nie zna ich pani jeszcze, tych naszych „Marsjan”? Hultaje! Bardzo ich lubię. Tylko dzieciaki potrafią być szczerze okrutne, niczego nie udając.

Na pierwszym piętrze otworzyło się okno i rozległ się łagodny głos Marty Avène:

- Julianie!

- Tak?

Momentalnie odzyskał ton człowieka będącego w pełni świadomości.

- Idziesz, kochanie?

- W tej chwili, Marto!

Usłyszał, że zamknęła okno.

- Idziesz, kochanie! -roześmiał się szyderczo. -Cóż za język u tej kobieciny! - Odzyskał pewność siebie. Następnie wziął garść lucerny leżącej na klatkach. - Niech pani patrzy. Te czarujące zwierzątka przepadają za lucerną i kiedy natrafią na czterolistną, cieszą się tak samo jak ludzie ze znalezienia czterolistnej koniczyny; powód radości też jest ten sam, że ma się o jeden listek więcej niż zwykle. Niechże pani powie, gdzie pani wcięła tę swoją kanapkę z chlebem.

- Po drodze. Zrobiłam mały spacer po wsi.

- Błąd! U nas, jeśli się zdycha z głodu, to u siebie w domu. Chodzi o pani stanowisko! Tutaj jest pani osobistością, panno Cassel! A osobistość musi się odpowiednio zachowywać, inaczej budzi nieufność...

Odszedł wolnym krokiem, pykając z fajki. Domyślałam się, że za szybą ciemnego okna na pierwszym piętrze czai się Marta Avène.

Czy jest zazdrosna?

Oparłam się o klatki, usiłując dostrzec króliki pochłonięte jedzeniem lucerny. Malutkie ząbki gryzoniów pracowały - rozlegało się jedno wielkie chrupanie.

Rozdział III

Bardzo wczesnym rankiem następnego dnia okropny wrzask wypełnił podwórze i momentalnie wszystko stało się inne niż dotychczas.

To ponure gmaszysko - bardziej odstrasżające niż więzienie - znów stało się szkołą, czyli miejscem, w którym rządzi radość i beztroska. Wszędzie rozlegały się śmiechy i ostre krzyki, przypominające głosy ptaków.

Na wsi jest inaczej niż w mieście, uczniowie przychodzą do szkoły wczesnym rankiem i gromadzą się na długo przed rozpoczęciem lekcji.

Obserwowałam ich, stojąc w rogu jednego z moich ogromnych, pozbawionych firanek okien. W ciągu kilku chwil na podwórzu wyrosła imponująca piramida z teczek. Co chwila musiałam odskakiwać od okna, bo dzieci często podnosiły głowy w moim kierunku. W końcu byłam przecież atrakcją dnia. Interesowali się mną także ci, którzy nie mieli być moimi uczniami. Niektórzy z nich widzieli mnie już we wsi i śpieszno im było opowiedzieć o mnie innym. Pewnie mówili, że jestem młoda, dość ładna (przynajmniej taką mam nadzieję) i ubrana w pewien określony sposób.

„Marsjanie”!

Wylądowali właśnie, przybywając ze swej planety, a ich mrowiący się przed budynkiem tłum stale gęstniał.

Niektórzy byli w czarnych fartuchach dawnego typu, ale większość miała fartuchy szare, ściągnięte w talii skórzanymi paskami. Podczas zabawy odwijali ich poły i zakładali je za

paski, upodobiając fartuch do czegoś w rodzaju żołnierskiego płaszcza. Ten stale rosnący tłum łobuziaków urzeżał mnie i zarazem przerażał.

Avène całkiem dobrze go przedstawił. Bardzo trafne było porównanie mego wejścia w to środowisko do skoku ze spadochronem. Bałam się, jak boją się wszyscy skoczkowie spadochronowi, niezależnie od stopnia wytrenowania i liczby wykonanych skoków.

Zastukał Avène. Poznałam gwałtowne, suche puk-puk jego wskazującego palca o grubych stawach. Kiedy wszedł, nie umiałam powstrzymać się od śmiechu, bowiem żaden nauczyciel nie mógł mieć bardziej nauczycielskiego wyglądu niż on w tej chwili.

Miał na sobie szare spodnie, starannie wyprasowane przez Martę, koszulę bez krawata, ale z przszytym brakującym guzikiem, a na tym nowiutki, długi, szary fartuch z przykrótkimi rękawami, które go upodobiły do magazyniera.

- I cóż, koleżanko?

W niektórych słowach, takich jak owo „koleżanko”, twardość jego południowego akcentu występowała szczególnie wyraźnie.

„Koleżanka” musiała wyglądać nie najlepiej.

Podszedł do okna i spojrzał w dół. Fałszywy uśmiech wykrzywił mu usta.

- Widzi pani tego rudzielca, koło ubikacji?

- Tak.

- To właśnie „Zasiedzialec”. I jak na to wskazuje nazwisko, które nosi, jego upośledzenie stanowi dziedzictwo po przodkach: nazywa się Wiktor Cugnet³.

Rozpoznałam w nim urwisa, który przedwczoraj, w dniu niego przybycia do wsi, przyglądał mi się, siedząc okraciem na balustradzie pomnika ku czci poległych.

- Jeszcze nie Umie czytać i nigdy się nie nauczy. No cóż, jego mózg nie pracuje normalnie! Zdarza się, że bez widocznego powodu wybucha przerażającym śmiechem, który wszystkich stawia na nogi... Przekona się pani...

Avène poszperał w jednej ze swych przepastnych kieszeni i

³Wiktor Kutasek.

pokazał mi jakiś błyszczący przedmiot. Był to gwizdek.

- Proszę wziąć - powiedział - to dla pani. Niech go pani używa. To najlepsze dla zapewnienia sobie posłuchu. Galony, stopnie, dystynkcje - wszystko to bzdura. Jeśli się chce, by ludzie byli nam ulegli, trzeba na nich gwizdać - jak na_psy. Niech pani popatrzy na policjantów! Proszę, ten ma bardzo ładny dźwięk.

Gwałtownym ruchem otworzył okno i podniósł gwizdek do ust. Zagwizdał głośno i przeciągle; wrzawa panująca na podwórzu natychmiast ustała, podniosły się wszystkie głowy.

- Proszę tak nie hałasować! - zawołał Avène.

I zamknął okno.

Był nienormalnie podniecony, ale tego ranka nie wino było tego przyczyną. Odurzył go pierwszy dzień szkoły. Był znów w swoim żywiole.

- Widziała pani?

Wręczył mi gwizdek. Był mokry od śliny mego kolegi i dotknięcie go wzbudziło we mnie wstręt.

Zauważył to widocznie, bo roześmiał się złośliwie:

- Zdezynfekuje go pani w spirytusie 90°. A w wypadku jego braku - opali go pani nad płomieniem. Chodźmy!

* * *

To było prostsze, niż myślałam.

Na mój widok zapanowała cisza.

Miałam niejasne i niezbyt miłe wrażenie, że jestem „okazją miesiąca” umieszczoną na wystawie wielkiego magazynu. Pierwsze zaczęły szeptać dziewczęta. Pewnie rozmawiały o tym, jak jestem ubrana i ostrzyżona.

Avène przypominał poskramiacza. On nie odczuwał lęku przed „Marsjanami”. Za pomocą gwizdka, który zdawał się tkwić w jego brodzie, trzymał tych nicponi w ryzach, niczym dozorca pilnujący bydła.

Podzielił uczniów na dwie grupy, po czym młodszej wskazał moją klasę:

- Wchodźcie! I bądźcie cicho! - zagrzmiał.

Jego uczniowie pozostali na podwórzu, podnosząc od razu potworny zgiełk.

Avène wszedł do mojej klasy i zaprowadził tam swoje porządki. Małych umieścił w pierwszych ławkach, kilku uczniów, których uważał za nieuważnych, posadził w pojedynkę, a w końcu zwrócił się do niedużego blondasa o smutnej twarzy.

Paweł, wstań!

Wezwany podniósł się, a ze sposobu, w jaki skrzyżowawszy ramiona patrzył na nas, odgadłam, że był dobrym uczniem.

- Oto najlepszy z pani klasy - zwrócił się do mnie Avène. - Paweł Boudrier. Jest zawsze prymusem, nigdy się nie łobuże. Pomoże pani w rozdziale pomocy szkolnych. Kiedy będzie pani musiała wyjść z klasy, jemu powierzy pani nadzór nad nią.

Chłopak patrzył na mnie, czerwieniąc się. Mrugał swymi jasnymi oczami, a ja obserwowałam grubą błękitną tętnicę pulsującą na jego szyi.

- Wszystko pójdzie tym łatwiej, że on już się w pani podkochuje - Szepnął Avène. - A więc zostawiam panią. Proszę żądać ciszy, inaczej kłapa, tym bardziej że podczas rozdzielania pomocy szkolnych zaraz zaczynają buchać co się da.

Odszedł, powiewając połami długiego fartucha. Kiedy drzwi mojej klasy zamknęły się za nim, nastąpiło coś w rodzaju eksplozji. Wszyscy smarkacze z wyjątkiem Pawła zaczęli się nawzajem przekrzykiwać.

Zakręciło mi się w głowie, ale zdołałam się opanować. Podniosłam do ust gwizdek Avène'a i zagwizdałam. Rozległ się śmieszny, ostry, zdławiony dźwięk, podobny do krzyku pawia. Dzieci wybuchnęły śmiechem. Pierwszy zaczął się śmiać idiota. W tym obłąkanym chichocie, który wydobywał mu się gdzieś z brzucha, brzmiała zarazem skarga i rozradowanie.

Natychmiast otworzyły się drzwi. Avène, który czatował na korytarzu, wpadł jak szalony, ze zwięzonymi z wściekłości oczami. Pochylił się nad „zasiedzialcem” i wymierzył mu dwa silne policzki; ich trzask rozbrzmiał ostro w ciszy, która nagle zapadła.

Idiota rozplakał się. Płakał tak samo, jak się śmiał - ze zwierzęcym nieopanowaniem.

- Pierwszy, który drgnie, dostanie kijem - uprzedził Avène. -

Naciąłem ich w czasie wakacji cały pęk. Wszystkie z leszczyny!
Ostrzegam!

Rzucił mi spojrzenie pełne pogardy, powstrzymał wzruszenie ramion i wyszedł. Słyszałam, jak - w celu uprzedzenia swoich „Marsjan” - gwizdże już na korytarzu; następnie wprowadził swoich uczniów do klasy. Drewniaki stukwały donośnie o kamienne płyty, napęłniając ogromne gmaszysko odgłosem maszerującego wojska.

Wiktor Cugnet płakał bardzo głośno, nie starając się ukryć swego żalu. Chętnie usiadłabym koło niego i połączyła jego łzy z moimi. Podeszłam i przytuliłam jego rudą głowę. Nie była to pewnie właściwa metoda; nie, na pewno nie była słuszna, ale kpiłam sobie z tego. Głaskałam jego odrażającą czuprynę. Wiktor Cugnet pachniał wsią: pachniał głupotą, zwierzęcą niedolą, człowiekiem...

Wszyscy inni przyglądali się nam z otwartymi ustami, a najmniejszemu z maluchów wypłynął z nosa ogromny glut, którego zapomniał wciągnąć.

- Jak idzie?

Względny spokój, jaki panował w mojej klasie, zaczynał się właśnie rozprzegać kiedy Avène zagwizdał na przerwę. Byłam uratowana!

Z założonymi do tyłu rękami spacerowaliśmy - on i ja - po podwórzu, od krytego dziedzińca do ogrodu.

- Nieźle.

- Nie jest pani dość surowa, obserwuję panią przez szyby w drzwiach...

Rzeczywiście obserwował mnie. Przez cały czas widziałam po przeciwnej stronie korytarza jego szczupłą sylwetkę. Jego broda ukazywała się tuż przy szybie i - zastygły na chwilę w bezruchu - patrzył na mnie.

- Zdawałam sobie z tego sprawę. I muszę powiedzieć, że trochę mnie to krępowało.

- Boi się pani mnie?

- Jest pan moim dyrektorem, panie dyrektorze.

- Kpi sobie pani ze mnie.

Jego żona siedziała w oknie swego mieszkania i niby przypatrując się zabawie dzieciaków, śledziła nas spod oka. Musiała być bardzo zazdrosna, a przez to bardzo nieszczęśliwa. Prawdopodobnie zastanawiała się, o czym też rozmawiamy, spacerując tam i z powrotem pod jej oknem.

Avène przeciągnął ręką po swej bujnej czuprynie.

- Niezbyt dobrze się czuję - powiedział.

Byłam zaskoczona.

- Dlaczego pan mi to mówi?

- Bo po raz pierwszy od piętnastu lat, czyli odkąd pracuję w tym kurewskim zawodzie, mam okazję to stwierdzić!

Zagalopowałam się:

- Ile pan ma lat? - zapytałam.

Stanął i patrzył na mnie.

- Ile by mi pani dała?

- No cóż!...

- Śmiało, niech mnie pani nie oszczędza! .

- Czterdzieści?

- I pomyśleć, że usiłuje pani mi schlebiać. Mam trzydzieści sześć...

- Wygląda pan na więcej.

Lekkim uniesieniem brody wskazał w kierunku okna, w którym stała jego żona.

- Po prostu zjawisko osmozy.

Aluzja była tak wyraźna, że nie mogłam przepuścić nadarzającej się okazji zadania mu kilku pytań na temat małżonki.

- Ile lat ma pani Avène?

- Pięćdziesiąt cztery. I zgodnie z panującymi zwyczajami mogłaby być moją matką.

- Jak do tego doszło?

- Na pewno niepotrzebnie... Na mojej pierwszej posadzie... - Umilkł i patrzył na mnie, jakby tknięty jakąś zaskakującą myślą. - To prawda - wyjąkał Avène.

- Co jest prawdą?

- Byłem na mojej pierwszej posadzie... Szkoła została

zniszczona przez powódź. Lektje prowadziłem w wielkiej sali merostwa w związku z tym tego roku wszystkie śluby odbywały się w czwartki⁴, a mieszkalem w prywatnym domu, bo hotelu nie bylo.

- To byl j ej dom?

- Tak. Miałem wówczas bardzo delikatny żołądek, bo nie piłem wina... - Roześmiał się, a następnie zagwizdał, aby rozdzielić dwóch bijących się chłopców. - Ona zawsze miała talent do pitraszenia, tak jak inne kobiety do muzyki czy haftu... o, Marta jest mistrzynią rondla.

Naszemu małżeństwu patronowali Parmentier i Denis Papin⁵, a ślub odbył się oczywiście w czwartek.

Sprawdził, niczym sędzia podczas meczu piłki nożnej, która godzina. Uosobienie zawodowej sumiennosci!

Zagwizdał tak .przeraźliwie, że na kilka sekund zostałam zupełnie ogłuszona. Marta skinęła nam nieśmiało. Była szczęśliwa, że przerwa się skończyła.

Rozdział IV

Pierwsza połowa tygodnia była pomyślna. Udało mi się znaleźć metodę ujarzmiania moich nicponi i doszłam do wniosku, że czują do mnie coś w rodzaju sympatii. Chłopców zjednywała moja młodość, dziewczynki - elegancja. „Zasiedzialec” zachowywał się spokojnie i wpatrywał się we mnie wilgotnym, psim wzrokiem. Paweł Boudrier wspierał mnie na swój sposób;-włożyłam w moją pracę zawodową tyle

⁴W owym okresie satkoły francuskie byty W czwartki nieczynna (przyp. tłum.)

⁵ Antoine Augustin Parmentier(1737-1813), francuski agronom i ekonomista, który w swej ojczyźnie rozwinął uprawę ziemniaka. Denis Papin (1647-1714), francuski fizyk, wynalazca m. in. tzw. kociołka Papina - hermetycznie zamkniętego naczynia, służącego do gotowania wody pod zwiększonym ciśnieniem. Cały ten fragment jest oparty na nieprzetłumaczonej grze słów „les pommes vapeur”, którym to mianem określa Avène swoją żonę; les pommes (de terre) - ziemniaki, la vapeur - para (przyp. tłum.).

dobrej woli, że musiało to przynieść owoce. Dzięki znakomitym radom Avène'a i opanowaniu przy jego pomocy zawodowych chwytów udało mi się poradzić sobie i z sobą i z klasą. Mimo to pierwszy czwartek powitałam z ogromną ulgą.

Zadepeszo wałam do matki z prośbą o przysłanie mi do Glunois mego całego sprzętu kempingowego. Tylko w ten sposób mogłam zagospodarować swoje puste mieszkanie.

W środę wieczorem furgonetka, która kursowała do Tournon, przywiozła mi wiklinowy kufer; był w nim namiot, materac, śpiwór i reszta sprzętu turystycznego wraz z kuchenką gazową.

Kiedy rozpakowałam to wszystko u siebie w dużym pokoju, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Skoro nie miałam czym umeblować tego ogromnego mieszkania, skoro przytłaczało mnie swą wielkością, skoro nie miałam firanek, które mogłabym zawiesić w oknach, ani dywanów, które pokryłyby zniszczone podłogi, dlaczegoż właściwie nie miałabym urządzić się tu jak na biwaku?

To wcale nie było takie głupie, jak się mogło początkowo wydawać. Bałam się nocy. Kuliłam się pod pierzyną nie tylko ze względu na chłód, ale głównie po to, żeby nie widzieć nietoperzy, które niezgrabnie uderzały o szyby swoimi błoniastymi skrzydłami. Przerazał mnie ich obłądny lot. Jeśli rozbiję namiot w rogu dużego pokoju, pozbędę się może owego lęku przestrzeni, który mi dokuczał w tym ogromnym i zbyt wysokim mieszkaniu.

Za płócienną ścianą tego azylu będę się wreszcie czuła u siebie.

Ponieważ śledzi nie mogłam wbić w podłogę, zdecydowałam się zastąpić je gwoździami. Poszłam do Avène'ów, żeby je pożyczyć. Otworzyła mi Marta. Od spotkania przy pomarańczowym winie moja noga nie pozostała u nich.

Zobaczyłam Juliana siedzącego w pokoju jadalnym; przed nim piętrzył się stos zeszytów. Miał na sobie stary szary fartuch, który zachował do noszenia po domu; raz po raz zagłębiał pióro w buteleczce z czerwonym atramentem.

W zasięgu jego ręki stała litrowa butelka „Le Cep Génereux” i kieliszek.

- Cześć, koleżanko! - krzyknął do mnie, ostentacyjnie napełniając sobie kieliszek.

Czerwone wino o poranku - można by pomyśleć, że chciał mnie nim epatować.

- Czy potrzebuje pani czegoś? - zapytała Marta.

Nie zależało jej na tym, by mnie u nich zatrzymać.

- Gdyby państwo mogli mi pożyczyć kilka gwoździ i młotek...

- Cóż to, bierzemy się do pracy na wielką skalę? - zapytał Avène po opróżnieniu swego kieliszka.

Marta przyniosła „piętrową” skrzynkę na narzędzia - jej przegródki wypełniały gwoździe, śruby i haki.

- Myślę, że znajdzie się tu wszystko, czego pani potrzeba do szczęścia - powiedziała podając mi ją.

Wysłałam zabierając ze sobą ten miniaturowy warsztat.

Następnym godzinom towarzyszyły wielkie emocje. Rozpięłam mój namiot w głębi największego pokoju, umieściłam w nim resztę sprzętu, a potem zainstalowałam w kuchni przybory do przygotowywania żarcia. Kiedy skończyłam te tak bardzo nietypowe prace związane z urządzeniem się, Julian Avène zapukał do drzwi i niemal w tym samym momencie wszedł do mieszkania. Zamiast fartucha miał teraz na sobie gruby golf. W zębach trzymał glinianą fajkę, jeszcze nawet nie zapaloną.

- Jak tam robota?

Z ciekawością rozglądał się dokoła. Wypił trochę, był jakiś rozluźniony, pewnie dlatego że jego żona poszła do wsi.

- Niech pan zobaczy.

Zaprowadziłam go do dużego pokoju. Stał w drzwiach, osłupiały; myślałam, że zaraz wypadnie mu z ust ukochana fajka. Chwiejnym krokiem podszedł do mojego namiotu, obejrzał go od wewnątrz i z zewnątrz, od czasu do czasu z dezaprobatą kręcąc głową. Następnie zwrócił się w moją stronę, przyglądając mi się z zaciekawieniem.

- Pani będzie tu spała?

- Tak. Nie mogę się przyzwyczaić do tych ogromnych pokoi.

Wyjął z kieszeni pudełko zapalek i zapalił fajkę. Dwa czy trzy razy pociągnął z cybucha.

- Pani jest kompletnie stuknięta - powiedział w końcu z westchnieniem.

Poszedł sobie. Zostałam sama, otoczona gęstym obłokiem dymu, który wyrzucił razem z obelżywą uwagą.

Nastał więc okres waśni. Albo raczej, co byłoby słuszniejsze, półwaśni.

Avène - jeśli pominąć sprawy służbowe - nie zwracał na mnie uwagi. Odniosłam wrażenie, że zaliczył mnie do kategorii nieuleczalnych wariatek i przestał się interesować wszystkim, co nie dotyczyło mojej klasy.

Mnie natomiast w moim nowym zawodzie wiodło się z każdym dniem lepiej. Do przyjazdu do Glunois wydawało mi się, że nienawidzę samotności. Tymczasem warunki szkolnego bytowania przekonały mnie, że znakomicie odpowiada ona mojemu usposobieniu; dokonał się we mnie jakiś przełom: wniknęłam w siebie, rozwinęłam swoje życie wewnętrzne.

Wystarczyły mi własne myśli i marzenia. Praca pozwalała na wyładowanie energii, a liczna grupa „Marsjan” stanowiła znakomite towarzystwo.

Z początku pisywałam długie listy do dziewcząt, które uważałam za przyjaciółki do końca życia, ale ich zdawkowe odpowiedzi, coraz krótsze i coraz bardziej chłodne, przekonały mnie o tym, że naprawdę przyjaźnić się można tylko wtedy, kiedy się jest razem. Upływ czasu i rozłąka niszczą w nieodwracalny sposób najpiękniejsze uczucia. Doświadczałam, wielkiej rozkoszy życia w samotności i kiedy zdarzało mi się w niedzielę jechać w odwiedziny do matki (mimo że Tournon nie było zbyt odległe, niewygodne połączenie sprawiało, iż podróż stawała się wyprawą), ze zdumieniem stwierdzałam, że nudzę się w tym starym domu, w którym mieszka moja matka pochłonięta troską o swoje zdrowie.

Polubiłam wciąż jeszcze wypełniający moje mieszkanie zapach cebuli, a kiedy do wnętrza mego namiotu dochodziły ciche piski nietoperzy, lęk nie chwycił mnie już za gardło.

Dzieciaki zachowywały się bardzo dobrze. Ich poziom

umysłowy był dość niski, ale wszystkie lub prawie wszystkie, dawały dowody najlepszej woli. W mojej klasie - wyjąwszy kilka dziewczynek - nie było gaduł. To były chłopskie dzieciaki, które od kołyski nauczyły się milczeć.

Wszystkie prace związane z przygotowaniem lekcji oraz poprawianiem zeszytów wykonywałam po lekcjach w klasie. Była moim schronieniem. W skąpym świetle stojącej na katedrze lampy klasa nabierała niecodziennego wyglądu: wśród białawych ścian tliło się jakieś ukryte życie, a mapy - z zielonymi dolinami, siecią wód przypominającą błękitem pociągniętą płataninę gałęzi i z brązowymi plamami gór - przydawały jakiejś trwożliwej, ale wszechogarniającej radości.

Chcąc zachęcić moich uczniów do współzawodnictwa, wieszalałam ich najlepsze rysunki na ścianach, a następnie - by nadać im odpowiednią rangę - kazałam je na lekcjach robót ręcznych oprawiać w ramki.

Widocznie dzieci wyrażały się o mnie dobrze do rodziców, bo często dostawałam od tych ostatnich jakieś prezenty. Były to jaja, kosz jabłek, sery lub kawałek wieprzowego mięsa; czasami był to bukiet kwiatów związany sznurkiem i niezgrabnie owinięty w gazetę.

- Moja mama kazała mi to pani dać...

Dziękowałam pisząc kilka słów na karteczce, którą przypinałam wieczorem do zeszytu ucznia. Wzruszały mnie te wiejskie upominki.

Pewnego dnia, kiedy najmłodszy wypełniali stronę swoimi „U” i „W”, a ja prowadziłam z pozostałymi lekcję czytania, zdarzył się dość zabawny przypadek. Rozległo się donośne, żołnierskie chrapanie. Cała klasa zaczęła się śmiać i wszystkie spojrzenia skierowały się na Wiktora Cugnet: leżał ,w poprzek stołu, z policzkiem opartym o chropowate drewno. Spał z otwartymi ustami.

Potrząsnęłam nim, obudził się, ponury, a tępota jego spojrzenia wydała mi się większa niż zazwyczaj. Pochyliłam się, żeby obejrzeć jego zamglone oczy i zachwiałam się pod wpływem jego oddechu. Zalaływało od niego alkoholem, dokładnie zaś mówiąc - „winogronówką”.

Zaczęłam przetrząsać jego kasetkę i znalazłam buteleczkę z podziałką, niewątpliwie aptecznego pochodzenia. Zatkana była dużym, prymitywnie przyciętym korkiem i zawierała jeszcze trochę „kropelek”.

Przerazona wybiegłam z klasy i zapukałam do drzwi Avène’a.

Odkąd zaczął mi okazywać swoją dezaprobatę, jakby zapomniałam o jego obecności. Był zaledwie dodatkiem do mojej pracy, postacią bez znaczenia, kimś w rodzaju zrzedliwego sąsiada; widziałam, jak chodzi po podwórzu i po korytarzach, a czasami - przez oszklone drzwi - jak gestykułuje, dziko wrzeszcząc.

Ważnie rozwiązywał na tablicy jakieś zadanie. Poły fartucha powiewały wokół niego, a jego koścista ręka przesuwiała się po gładkiej powierzchni, kreśląc z rozmachem cyfry i litery przypominające olbrzymie owady.

Odwrócił się, zauważył mnie i - nie przerywając swej pracy - zawołał, abym weszła.

Byłam onieśmielona. Miałam wrażenie, że przekroczyłam próg jakiegoś sanktuarium. W jego klasie unosił się inny zapach niż w mojej i panował w niej nastrój znacznie bardziej uroczysty. Zatrzymałam się na środku, bardziej spłoszona, niż byłby w podobnych okolicznościach któryś z moich uczniów.

Julian Avène skończył zadanie i zwrócił się do mnie:

- Co panią sprowadza, koleżanko?

- Ja... Ja chciałabym porozmawiać z panem na osobności.

- O! - Wyprowadził mnie na korytarz, a przed wyjściem wrzasnął: - Niech usłyszę choć jedno słowo, a całe towarzystwo zarobi po dziesięć czasowników, rozumiano?

Nadeszły pierwsze chłody - w szerokim korytarzu szalały podstępne przeciągi. Dochodził do nas odgłos cichego uderzania stóp o podłogę, bo nawet najgrzeczniejsze dzieci nie są w stanie utrzymać nóg w bezruchu. Z góry dochodziły dźwięki radia i zapach smażonej cebuli.

- Cóż się stało?

Pokazałam mu buteleczkę.

- No i co?

- Niech pan powącha!

Zbliżył nos do szyjki.

- To „winogronówka”?

- Znalazłam ją w kasetce Cugneta, który jest niemal zupełnie pijany!

Avène wybuchnął śmiechem.

- Piękna sprawa!

- Czy to wszystko, co ma pan do powiedzenia?

- Niech pani idzie ze mną! - wprowadził mnie do swojej klasy. - No, chłopcy! - krzyknął. - Niech ci, którzy mają flaszki z „winogronówką”, pokażą je nam!

Nikt nie drgnął.

- Zaraz przejrzę kasetki i teczki, a przemytnicy napiszą piętnaście razy: „Jestem synem pijaka i pijakiem”... Ostrzegam!

Ponad pół tuzina „dużych” uniosło pulpity i wyjęło z teczek buteleczki niemal identyczne jak należąca do mojego „zasiedzialca”.

- Oto jak wygląda sprawa! - powiedział Avène.

Wróciliśmy na korytarz.

- Ależ to przerażające - wyszeptalam.

- Z powodu?

- Dzieci, które piją alkohol! Pan uważa...

- Te urwisy to dzieci hodowców winorośli. Jest zimno, ich rodzice Uważają, że dobrze robią dostarczając im kalorii. Te „kropelki” są, droga koleżanko, źródłem witaminy B12. Z początku to zaskakuje, potem człowiek przyzwyczaja się. A reszta: dlaczegożby nie?!

Poczułam przypływ wściekłości. Chętnie podrapałabym mu twarz.

- Tak właśnie zachowuje się podły pijaczyna! - zawołałam. - Takim jak pan sprawia pewnie sadystyczną radość fakt, że oddani panu pod opiekę chłopcy stawiają pierwsze kroki na drodze do alkoholizmu.

Wróciłam do jego klasy. Złapałam wszystkie leżące na pulpitach buteleczki z „winogronówką” i poszłam je potłuc w kącie podwórza, gdzie leżał węgiel.

Kręciło mi się w głowie od oparów wódki, a może ze złości. Zdawało mi się, że spalę się ze wstydu.

Julian Avène, obrażony, stał na środku swojej klasy i z zamyśloną miną głaskał się po brodzie.

- Dziwna surowość obyczajów, chłopcy! - stwierdził.

- Powiecie swoim rodzicom, że odtąd w szkole obowiązuje prohibicja. - Podszedł do mnie i zasyczał z nienawiścią: - Niech pani robi przedstawienia w swojej klasie. Jeśli kiedykolwiek pani noga postanie w mojej, sprawię pani lanie w obecności wszystkich moich „Marsjan”, rozumiano?

Byłam, o wiele za bardzo zdenerwowana, bym mogła dalej prowadzić lekcję. Pozostałam moich potencjalnych pijaków na chwilę samych i poszłam do siebie.

Kiedy znalazłam się na górze, nastąpiło odprężenie i wybuchnąłam płaczem. Płakałam nad zagrożoną ludzkością, płakałam nad jej złym losem i nad budzącym przerażenie brakiem świadomości u ludzi.

Przymknięte drzwi mego mieszkania otworzyły się; uświadomiłam sobie obecność Marty; stała tuż koło mnie.

- Co się pani stało, panno Cassel?

Miała na sobie swój okropny peniuar koloru skóry dotkniętej egzemą. Nie miałam najmniejszej ochoty na to, by mnie pocieszała.

- Proszę mi wybaczyć - wyjąkałam - mam napad chandry.

- Ale dlaczego?

- Tak sobie.

- Nie trzeba, pani jest młoda...

I mam przyszłość przed sobą. Stara śpiewka.

Wstrzymałam oddech, żeby unicestwić swoją rozpacz. To była metoda, którą wynalazłam będąc małą dziewczynką. Doprowadzałam do momentu, kiedy się prawie dusiłam, i potem przez jakiś czas nie byłam w stanie myśleć o swoim zmartwieniu; w ten sposób odnosiłam zwycięstwo.

Tym razem także pomogło. Otarłam łzy.

- Otóż i koniec. Nerwy... Muszę zejść, moje dzieciaki są same...

Zeszłam na dół, by mówić im dalej o drogach żeglownych. Ale oni dobrze wiedzieli, że płakałam. Nie zrozumieli z pewnością przyczyny moich łez, ale byli nimi wstrząśnięci.

Po południu otrzymałam wiele bukietów - dalje i chryzantemy. Jedna z moich dziewczynek wręczyła mi rysunek, najwyraźniej inspirowany przez kalendarz pocztowy (moja matka miała taki sam, a na planszy widniała barka przycumowana pod płaczącą wierzbą). Rysunek wzruszył mnie jeszcze bardziej niż kwiaty.

W przyszłości miał się on jednak stać przyczyną przykrego incydentu.

Rozdział V

Pod koniec tego nieprzyjemnego dnia, podczas poprawiania zeszytów, przysła do mnie z wizytą Marta Avène.

Celowo używam słowa „wizyta”. Bo też i chodziło o prawdziwą wizytę. Marta była wystrojona, jakby szła na herbatę do żony mera. Miała na sobie brązową suknię, pantofle na wysokich obcasach i beżowy wełniany żakiet.

Zapukała. Żona mego kolegi przekraczała próg mojej klasy po raz pierwszy.

- Czy nie przeszkadzam?

- Ale skąd!

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie mogłam zdobyć się na poproszenie, by usiadła.

- Przyszłam panią odwiedzić.

Od dwóch miesięcy mieszkaliśmy w jednym domu i niemal nigdy nie dzieliła nas od siebie odległość większa niż sto metrów. A jednak ona „przysła mnie odwiedzić”.

Jej nieco emfaticzny ton był zapowiedzią czegoś bardzo ważnego.

- Słucham panią?

- Mój mąż mówił mi o... o porannym incydencie!

W jaki sposób przedstawił jej sprawę?

- Przyszłam, aby powiedzieć, że całkowicie się z panią zgadzam.

Tym razem jej głos był pozbawiony tych miękkich modulacji, charakterystycznych dla zrezygnowanych bigotek, modulacji,

które mnie tak drażniły. Była zdecydowana i ostrożna.

- Dziękuję.

- A poza tym...

- Tak?

- Przyszłam, żeby prosić panią o pomoc.

- Doprawdy, jeśli mogę...

- Może pani! - Oparła się łokciami o stół i powoli wodziła końcami palców po moim stosie zeszytów. - Pracuje pani w cudownym zawodzie. Chciałabym być nauczycielką. Kiedy patrzę na pracę Juliana, myślę sobie, że to byłoby wspaniałe.

Odniosłam wrażenie, że coś ją gnębi.

- Jaki to ładny rysunek!

- Zrobiła go dla mnie własnoręcznie jedna z dziewczynek...

- Bardzo bym chciała dostawać takie rysunki. Ta mała ma talent...

„Ta mała” nie miała żadnych zdolności i nieudolnie posługiwała się kalką, ale Marta Avène należała do ludzi, dla których malarstwo jest sztuką oddania podobieństwa. Ta dygresja wybiła ją z uderzenia i teraz nie miała odwagi powiedzieć, z czym przyszła.

- Powiedziała pani, że potrzebna jest pani moja pomoc...

- Chodzi o mego męża.

Nagle pojęłam, czego ode mnie chce.

- Może pani nie zauważyła, ale on od kilku lat dużo pije. Och, nie upija się... na umór, ale co wieczór...

Utknęła. Nie mogła dalej mówić. Nie musiała zresztą, i tak wszystko już wiedziałam.

- Nie bardzo wiem, proszę pani, co tu mogę zrobić. Dziś rano bardzo źle się odniósł do mojej interwencji, mimo że dotyczyła wyłącznie jego uczniów.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie była już teraz o mnie wcale zazdrosna. Antagonizm, jaki powstał między mną a jej mężem, dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

- Źle się do niej odniósł, ale bardzo się przejął. Żeby go pani wtedy widziała! Miotał się po domu jak niedźwiedź w klatce... - Schwyciła mnie za rękę. - Trzeba działać dalej. Zdaje się, że potraktowała go pani jak pijacynę?

- Tak. Już nie pamiętam.

- Jest wściekły, ale przejął się tym, co się stało. Niech go pani dalej zawstydza! Jestem przekonana że zastosowała pani właściwą metodę!

Trzeba było być bardzo kochającą małżonką, aby zdobyć się na taką wypowiedź. Marta nie zdawała sobie sprawy z tego, jak potworne było to, co mówiła.

- Musi mi pani pomóc, panno Cassel! Musi pani! Julian to wartościowy człowiek, to wyjątkowy chłopak!

Przywołałam w pamięci obraz człowieka, którego kroki słyszałam nad głową: szary fartuch, broda nadająca mu pozór artysty czy intelektualisty, złe spojrzenie, wykrzywione usta i okropne dziurawe sandały - oto Julian Avène.

Pięknie się prezentował ten „wyjątkowy chłopak”.

- Przyrzekam pani, że...

- Dziękuję! Dziękuję! Czy pani wie, co panią czeka? Przyjdzie pani do nas na obiad!

Nie wierzyłam własnym uszom. Doprawdy nie w porę przyszło to spóźnione zaproszenie.

- Ależ to niemożliwe po tym przykrym zajściu, jakie zdarzyło się dziś rano!

- Wprost przeciwnie. Przecież nie będzie się pani wdawała w jakieś głupie swary...

- Myślę, że pani mąż nie ma dla mnie zbyt wiele szacunku i sympatii. Zdawałam sobie z tego sprawę od chwili mego przyjazdu tutaj...

- Proszę, niech pani nic nie mówi! Zapraszam panią! Przesłano mi akurat kurczaka. Przyrządzę go z estragonem, a robię to nieźle, przekona się pani!

Dosłownie uciekła, żebym nie zdążyła odmówić.

Szczerze mówiąc, poszłam tam chyba ze względu na kurczaka.

Byłam pełna obaw. Ale Avène przyjął mnie z uprzejmym uśmiechem dobrze wychowanego pana domu. Po raz pierwszy widziałam go w „miejskim” garniturze i stwierdziłam, że to konfekcyjne granatowe w szare paski ubranie leżało na nim jak

na psie frak. W tym zbyt obszernym stroju przypominał podejrzanego domokrażcę, który chodzi od drzwi do drzwi, proponując szczotki i inne przybory gospodarskie. Do koszuli w paski zawiązał nawet krawat koloru bordo i pewnie był przekonany, że tak ubrany jest w stanie zakasować najelegantszego członka Jockey Clubu.

Kiedy weszłam, zawołał z nieco sztuczną wesołością:

- O! Otóż i Liga!

- Julianie - upomniała go żona.

Nie był pijany, ale mimo to oczy pobłyskiwały mu gorączkowo.

- Niech pani wejdzie, droga kempingowiczko! I niech pani sobie weźmie krzesło, jeśli jeszcze potrafi pani nim się posługiwać. -1 żeby uprzedzić protesty Marty, która krzątała się przy kuchni, dorzucił żartobliwym tonem:

- Niezwykłą cechą Cassel jest to, że żyje tuż przy ziemi. Jak w czasach starożytnego Rzymu.

Jedynym, co w nim lubiałam, był ów chłopięcy zwyczaj zwracania się do mnie po nazwisku. Dla Juliana byłam po prostu „Cassel”. Traktował mnie jak koleżę, a to upraszczało nasze stosunki.

Obiad był stosunkowo skromny. Składał się z zupy i szumnie zapowiedzianego kurczaka z zapiekaną dynią, grubo posypaną tartym serem.

- No cóż, Cassel, opowiedziałem mojej żonie o tym, co się stało dziś rano...

Udałam, że nic o tym nie wiem.

- Doprawdy?

- Tak jej się to spodobało, że postanowiła koniecznie zaprosić panią na wyżerkę. >

- Mam nadzieję, że nie jest pan z tego powodu niezadowolony?

- Ależ skąd, przecież jutro jest czwartek.

Jego żona spojrzała nań prosząco. Nie miała racji biorąc mu za złe jego zachowanie - szyderstwa nie sprawiały mi przykrości. Były to raczej dowcipy skłonnego do żartów kumpla, coś w rodzaju życzliwego „napuszczania”.

Otworzył dwie butelki i zaczął do pełna nalewać kieliszki.

- Jestem przeciwny nakazom konwenansów - powiedział, pochwycając moje spojrzenie - i uważam, że gospodarz jest tym lepiej wychowany, im obficiej napełnia kieliszki.

Marta puściła wymownie oko, po czym jej twarz przybrała zwykły wyraz bolesnego spokoju.

- Droga kempingowiczko, czy zalała się pani kiedyś w swoim krótkim życiu?

- Nie sądzę...

Zmarszczył gęste brwi.

- Nie kapuje, o co chodzi. Tak czy nie?

- No cóż! Zdarzyło mi się, że wypitałem nieco więcej niż zwykle i zakręciło mi się w głowie, ale nie wiem, czy na tym polega upicie się.

Julian wybuchnął dudniącym śmiechem.

- Oto młoda nauczycielka, która opowiada się za wstrzemięźliwością i uważa swego dyrektora za pijacynę, mimo że sama nigdy się nie urznęła, wiesz, Marto?

- Dziwnie pan rozumuje, panie Avène. Pana zdaniem, aby być czemuś przeciwnym, a raczej aby mieć prawo czemuś się sprzeciwiać, trzeba samemu to robić?

- Właśnie!

- A więc nie można potępiać prostytutki, jeśli się nie było prostytutką? Nie ma się prawa opowiadać przeciwko zbrodni, dopóki się kogoś nie zabiło?

Wzruszył ramionami.

- Mój mąż - westchnęła Marta - dyskutuje czasami jak smarkacz. Upiera się przy twierdzeniach nie wytrzymujących krytyki zdrowego rozsądku.

- Skoro niemożna pożartować inaczej... - wykrzyknął Julian.

Uniósł butelkę, by ją okazać w świetle lampy.

- Oto „L'Hermitage Blanc”, Cassel. To, co wszechświat ma najznakomitszego. Istnieje tylko jedno wino lepsze od „L'Hermitage Blanc” - to „L'Hermitage Rouge”. Niech no pani tego spróbuje. I niech pani do tego zaangażuje raczej swoją inteligencję niż podniebienie. A także niech pani pamięta, że pije pani krew Ziemi. Obywatel Jezus nie był głupi, głosząc, że

to jego krew! I w ten sposób niechęć ludzkości uczynił wampirami...

Martę szokowało to, co mówił. A ponieważ nie miał odwagi otwarcie stawić jej czoła, zabawiał się gorszeniem jej niejako drogą pośrednią - w rozmowie z kimś innym.

- Ach, Julianie! Bardzo cię proszę, zamilcz!

- Muszę pani coś powiedzieć, Cassel. Pani Avène jest religijna. Niech pani tego nikomu nie mówi, ale w naszej sypialni przemieszkują dobre bóstwa. Gdyby tutejsi ludzie o tym wiedzieli!

- Julianie!

Ale Julian był w kursie.

- Na początku naszego małżeństwa to nawet rozrabiałem na temat siostry Teresy i proboszcza z Ars. Jeśli chodzi o patrona, to niech tam jeszcze: istnieje przecież wolność wyznania. Ale co innego współzycie z duchami. Tak więc zna pani tajemnice naszej alkowy! A teraz wypijmy!

Umoczyłam wargi w kieliszku. Avène mówił prawdę: jego wino było istnym cudem.

- Niech pani opróżni swój kieliszek, Cassel, nie znoszę, jak ktoś się guzdrze, szczególnie przy picu.

- Nie jestem przyzwyczajona!

- To niech się pani przyzwyczai! Proszę zauważyć, że nie nalegałem, gdy chodziło o mój napój o mocy 11°. Takie jak on i te sikacze algierskie nadają się akurat do spicia nimi jakiegoś pijaczyny. Ale ten nektar, raz otwarty, powinien zostać wypity!

Wypiłam. Pierwszy kieliszek, potem drugi. Opanowała mnie gwałtowna wesołość. Przedmioty jarzyły się jakimś wewnętrznym światłem, ludzie też, i zaczynałam uważać, że Avène'owie są najmiłszymi sąsiadami na świecie.

Nie chciałam wypić trzeciego kieliszka, ale Julian niemal zmusił mnie do tego, twierdząc, że do kurczaka trzeba pić wino czerwone, a więc należy najpierw skończyć butelkę białego. Było oczywiste, że mnie prowokuje, że chce mnie upić. Ale uznałam to za niewinny odwet. Zresztą, jak lubił powtarzać, „jutro jest czwartek”!

Nie wiem, czy sławetny kurczak z estragonem był kulinarnym

cudem, jak to zapowiadała Marta, bo kiedy się do niego zabieraliśmy, mój zmysł smaku był nieco przytępiony.

Julian wystąpił z serią toastów. Piliśmy nawzajem swoje zdrowie, potem zdrowie naszych drogich malców. Dopiero po kurczaku zaczęłam sobie mniej więcej zdawać sprawę z mego stanu. Słowa nie nadażały już za myślą, przypominały popychane przez lokomotywę nie poszczepiane wagony, które zdane na kaprysy stromizn terenu, to oddalają się od siebie, to znów łączą. Avène'owie stopniowo rozplywali się w złocistej mgle. Jaśnieli niczym kościelne witraże. Metaliczne modulacje śmiechu Juliana stanowiły wesołe tło muzyczne.

- Czy pani wie, Cassel, że moja żona ogromnie podziwiała rysunek, który pani dostała od jednej ze swoich siusmajtek?

- Ja go... Ja jej go...

- Niech pani sobie strzeli, droga koleżanko, jeszcze jeden kieliszek, to porządkuje słownictwo!

Wypiłam. Jakże gładko szło to wino!

- Poproszę tę małą Rigolier, żeby zrobiła jeszcze jeden rysunek...

- Nie chciałabym sprawiać pani kłopotu, panno

Cassel.

To mówiła Marta, ale jej głos był jakiś „splaszczony”.

- O, to nie... Ja...

- Niech pani pije!

Otworzyli szampana. Marta umoczyła w kieliszku wskazujący palec i dotknęła nim męża za uchem.

- To przynosi szczęście - wybełkotała, ogarniając go zakochanym spojrzaniem.

Julian potrząsnął głową, jakby chciał uniknąć jej dotknięcia.

- Co do szczęścia, moja droga Marto, to tak dość mi go dajesz. Opróżnijmy teraz kieliszki za talent małej Rigolier. Zaczne dziecko ta Marinetta Rigolier. Jej ojciec nie jest jej ojcem, a jej matka jest córką jej dziadka i kochanką służącego. Ale Marinetta Rigolier istnieje! Marinetta Rigolier zapewni temu krajowi ciągłość życia

- wraz z trzydziestoma innymi małymi samicami, które usiłujemy nauczyć, że słowa zakończone na „ę” przybierają w

liczbie mnogiej końcówkę „ęta” i że Kopenhaga jest stolicą Danii. A jakimże to prawem my, moja Cassel, uczymy Marinettę Rigolier, że Kopenhaga jest stolicą Danii, skoro ona do Danii nie pojedzie? A poza tym, czy sprawdziliśmy to? Czy nie przyszło pani na myśl, że to wszystko jest monstrualnie głupim żartem? Czy nie przyszło pani na myśl, że zostaliśmy wprowadzeni w błąd i że Dania w ogóle nie istnieje, hmm? Powinniśmy, Cassel, zastanowić się, czy ten nagniotek na mapie Europy rzeczywiście istnieje. „L’Hermitage Blanc” na pewno istnieje - pijemy je! Marinetta Rogolier też istnieje, rysuje nam swoje arcydzieła i strzelając palcami - kciukiem i środkowym - prosi o pozwolenie wyjścia do ubikacji, a jaki mamy dowód na istnienie Danii?

Śmiałam się do łez. Tej diatrybie Juliana Avène’a towarzyszyła komiczna, bardzo wymowna gestykulacja. Zaprzestawał jej tylko podczas napełniania kieliszków.

I tak opróżniliśmy butelkę szampana, a wtedy poleciał Marcie, by przyniosła „butelkę-dziwo”. Była to butelka „winogronówki”, wewnątrz niej znajdowała się gruszka.

Owoc był niemal tak szeroki jak butelka i miał piękny żółty kolor.

- Czy to nie efektowne, co, Cassel?

- Jak pan to zrobił?

- Przeprowadziłem aż pół tuzina prób. Wprowadzałem do butelki kwitnącą gałązkę gruszy i wieszałem butelkę na murze, przy którym rosło drzewo, ale kwiat albo ginął, albo - jeśli zawiązywał się owoc, ten z kolei zanikał i gnił. Ale pewnego dnia, Cassel, przyszedł mi do głowy pomysł stulecia. Wziąłem najpiękniejszą gruszkę, jaka była w ogrodzie, i umieściłem ją w butelce za pomocą lejka.

Od miesięcy tak się nie śmiałam. I mimo że byłam pijana, zdawałam sobie sprawę, jak bardzo mi było to potrzebne. Ten śmiech był bardziej krzepiący niż sen czy jedzenie. Świetnie działał i na ciało, i na duszę.

- Niech no pani spróbuje tej wódki!

- Nie, już nie mogę!

- Niech pani spróbuje! To rozkaz, Cassel! Jestem pani

dyrektorem.

Spróbowałam. Indianie mieli rację, nazywając alkohol ognistą wodą. Nie można było trafniej określić jej działania. W moim przewodzie pokarmowym szalał ogień.

- Przekonała się więc pani. że tę wódkę da się wypić, co, Cassel? I wchodzi do gardła równie gładko, jak „czterokonka”⁶ toczy się po szosie. Człowiek natychmiast czuje, że ma mięśnie, wolę, wdzięk i wybitną inteligencję! - Lekko potrząsnął butelką. Ogromna gruszka miękko zakołysała się w wódce. - Pewnego dnia jakiś niezręczny ruch umożliwi mi zjedzenie tej gruszki. Czekam na tę niezręczność. Wierzę, że nadejdzie, mimo że obchodzę się z tą butelką tak, jak by to była bomba, która w każdej chwili może wybuchnąć.

Mówił dalej, ale reszta słów zlała się w jakiś niewyraźny pomruk... Poczulałam się bardzo pijana i trochę chora.

- Chcę wrócić do siebie, żeby się położyć...

- Jeszcze kropelkę, Cassel!

- Nie... Już nie mogę...

- Będziesz musiał ją odprowadzić, Julianie!

Zupełnie jakbym mieszkała na drugim końcu wsi.

Miałam do przejścia zaledwie pokój, korytarz, potem podest schodów i znów korytarz. Podniosłam się, mówiąc „nie”. Jadalnia Avène’ów zaczęła kręcić się w kółko. Najpierw powoli, a potem coraz prędzej. Meble wirowały, wznosząc się i opadając, jak na wzburzonym morzu. Zachwiałam się, wyracając krzesło. I ja także byłabym upadła, gdyby mnie Julian nie podtrzymał.

- O, rzuca nami, koleżanko...

- Pan mi za dużo...

- Jutro będzie pani mogła odespać - jutro czwartek!

Czwartek! Czwartek! Czwartek!...

Te słowa kręciły się szybciej niż jadalnia. Zamknęłam oczy i osunęłam się. Nie mogłam już stać.

- Otwórz mi drzwi, Marto.

Wziął mnie na ręce. Guzik od jego marynarki uwierał mnie w biodro. Przeciągł i uporczywy zapach chlorku od bielizny

uprzytomnił mi, że przechodzimy przez podest schodów.

Wchodząc do mieszkania, walnął moją głową o framugę drzwi; uderzenie było silne, ale stałam się niewrażliwa na ból.

- Potrzebujesz mojej pomocy? - dobiegł głos Marty.

- Nie trzeba. Kładę ją na łóżku...

Położył mnie na łóżku. Domyśliłam się, że zdejmuje mi pantofle. Spódnica podwinęła mi się, ale nie byłam w stanie jej obciągnąć. Przez przesłaniającą mi wszystko mgłę zobaczyłam, że mi się przygląda. Stał przy łóżku, jego ręce kołysały się, a jedna powieka opadła niżej niż druga; wpatrywał się w moje uda.

Męczyło mnie to przyklejone do mojego ciała spojrzenie. Poruszałam wargami, ale nie wydałam żadnego dźwięku. Nie byłam zresztą w stanie uporządkować myśli ani znaleźć słów, które mogłyby je wyrazić.

Zamknęłam oczy i wszystko się rozplynęło, wszystko zakryła ciemność!

Zamknęła się nade mną obezwładniająca nicość

Spałam niespokojnie i miałam koszmarne sny. Wdrapywałam się na ogromną gruszkę o lepkich ścianach, wielką jak góra. A kiedy dochodziłam do szczytu owej gruszki, widziałam czwartek pływający w alkoholu. Czwartek był niebem, pięknym błękitnym niebem, a mimo to tkwił w butelce.

Musiałam często budzić się i znów zapadać w sen. Było mi zimno, potem za gorąco. Nie mogłam powrócić do rzeczywistości. Nie byłam w stanie otworzyć oczu, to było ponad moje siły. Miałam świadomość, że jest dzień, ale nie mogłam się całkowicie rozbudzić. Ciekawa sprawa - nie miałam nudności. Odczuwałam zupełnie inne dolegliwości, serce biło mi bardzo szybko i bardzo mocno, a zamiast zębów miałam kawałki kredy. Sam środek brzucha przeszywał mi jakiś tępy ból. Chwilami rozlewał się szeroko, zaraz potem przycichał, by następnie dawać o sobie znać już tylko zdradzieckimi nawrotami. Ale najgorsze rzeczy działy się w mojej czaszce. Wyznaczyły sobie w niej spotkanie wszystkie, dzwony świata,-

aby z całym okrucieństwem rozzwonić się na alarm.

Upłynęło dużo czasu, znaczonego na przemian okresami nieświadomości i pobudzenia przez ból. Kiedy wreszcie zdołałam otworzyć oczy i rozejrzeć się dookoła, Stwierdziłam, że świeci słońce. Słońce zimowe, jeszcze smutniejsze niż szarość poprzednich dni, jednak moje udręczone oczy nie wytrzymały jego blasku.

Jeszcze przez długi czas dolegliwości zwiększały się. Na koniec doszedł mnie jakiś szmer i przede mną - nagle jak we śnie - stanął Julian.

- Co słyhać, koleżanko? - wyraz mojej twarzy wystarczył mu Widocznie za odpowiedź. - Wygląda na to, że znajduje się pani w wyjątkowo opłakanym stanie!

- Tak.

Moje pierwsze słowo. Miałam wrażenie, jakbym przed wypowiedzeniem tej sylaby nigdy nie mówiła.

- Zaraz południe...

Co mnie mogła obchodzić godzina? Dzień... Czwartek! Czwartek! Czwartek! Czwartek! Czwartek! Jak dwa tony syreny pożarniczej.

- Chce pani ziółek?

Przełknąć cokolwiek! O Boże, jak można choćby tylko pomyśleć o czymś tak ohydny! Nigdy i nic nie wezmę już do ust. To postanowione. W oczekiwaniu na całkowite uwolnienie się od przerażającej potrzeby jedzenia moje ciało będzie się żywiło samym sobą.

Avène przysiadł na brzegu łóżka. Przez chwilę milczał, po czym wyjąkał:

- Biedactwo!

Jego litość była dla mnie równie przykra jak myśl o jedzeniu czy piciu.

Przesunął ręką po mojej ciągle jeszcze odkrytej nodze. Nie przejmowałam się tym - wyzbyłam się wstydu. Moje samopoczucie nie pozwalało mi na taki luksus.

- Muszę pani coś powiedzieć, moja mała. Do tej pijatyki doszło nie całkiem z mojej winy. To stara tego chciała. Żeby pomścić swego drogiego Juliana, którego pani potraktowała

jak pijaczynę. Makiawelowski pomyśl, co? To ona wszystko ułożyła. Jeśli chodzi o mnie, to bawiła mnie myśl o zobaczeniu pani pod gazem. Ona wygląda sympatycznie, tak, ale to jędza. I to najgorszego rodzaju, jędza podstępna, jędza z uśmiechem na ustach. - Mówiąc to, w dalszym ciągu głaskał mnie po nodze. Jego ręka przesuwała się aż do uda i zatrzymywała się w miejscu, gdzie kończyła się pończocha. - Widzisz, mała, jak człowiek może zapaskudzić sobie życie, jeśli za bardzo lubi dobre żarcie?

Nie od razu zorientowałam się, że mnie tyka. Wszystkie procesy przebiegały u mnie w zwolnionym tempie.

Avène zdjął dłoń z mojej nogi i położył na swoim solanie.

- Korzystam z tego, że ona poszła po sprawunki, ażeby się zobaczyć. Źle zrobiła spijając cię. Żebyś wiedziała, jak mi się podobałaś wczoraj wieczorem - pijana. Najbardziej bezbronna z twoich dziewczynek nie jest tak bezbronna, jak ty byłaś wczoraj. Wino ci dobrze robi... Z pićiem jest podobnie jak z malowaniem obrazu. Podkład jest nieważny. Liczy się druga warstwa. Jestem artystą ochlajografii. A więc tę warstwę trzeba kłaść bardzo grubo, nie troszcząc się o kolor. Zostawiasz ją, żeby przeschła. A później, następnego dnia, chwytasz za pędzel i zabierasz się na serio do roboty. W tym właśnie momencie przychodzi natchnienie... Zobaczysz.

Wyszedł, a za chwilę wrócił z flaszką białego wina w ręce.

Na sam widok butelki poczułam się tak, jakby mi wyrywano wnętrzności.

- Boisz się jej, co, mała? Przyznaj się... To nic, i tak się napijesz. Zaufaj mi, wiem, co mówię... No, otwórz buzię!

Wzrok mi nie dopisywał. Ale nigdy jeszcze nie widziałam go tak pijanego. Ponieważ z całej siły zaciskałam zęby, postąpił ze mną jak z dzieckiem, które chce się zmusić do połknięcia lekarstwa, zacisnął mi nos. Wytrzymałam dobre kilka sekund, ale w końcu musiałam otworzyć usta, i to tym szerzej, że prawie się już dusiłam. Avène podsunął mi wylot butelki, unosząc jednocześnie do góry moją głowę.

- No łykaj! Przysięgam, że ci po tym przejdzie...

Przełknęłam. Znów przechylił butelkę. Poczułam w gardle strumień białego wina. Kaszlałam, plułam, ale mimo to

wypiłam. I ciekawa sprawa - poczułam, że miał rację. Białe wino rzeczywiście dobrze mi zrobiło. Palilo mnie w gardle, ale łagodziło dolegliwości żołądkowe.

- A więc widzisz. Czy nie jestem artystą w swoim rodzaju, powiedz, mała pijaczko?

Długo pił wprost z butelki. Wydawało się, że jego jabłko Adama, i tak wydatne, przedziurawi mu szyję. Przesuwało się za każdym łykiem i ten ruch przykuwał mój wzrok. Było to potworne. Odnosiłam wrażenie, że w jego gardle siedzi jakieś małe zwierzątko.

Gdy skończył pić, znowu usiadł w nogach mojego łóżka.

- Wiesz, jesteś śliczna. Masz fantastyczne nogi. Widzisz, Franciszko, chcę ci się zwierzyć: dotąd oglądałem tylko nogi mojej starej kobyły. A poza tym, tak, przedtem nogi kurew. Bardzo lubiłem kurwy. Im się płaci. Tyle że nie są to właściwie kobiety, rozumiesz? A ich nogi to nie prawdziwe nogi, a narzędzia do uprawiania seksu. Nie gorszę cię, co? Zawsze przychodzi chwila, kiedy trzeba sobie wszystko powiedzieć, nie? Wiem, że przyjdzie dzień, w którym powiem starej, że jest stara. Czekam tylko, żeby ona sama była tego absolutnie pewna, bym nie musiał jej o tym przekonywać. Kobiety są takie dziwne! One nie chcą wiedzieć, kapujesz? To proste! I właśnie to stanowi ich siłę. Nic nie mówisz, Franciszko! Dobrze wiem, że cię gorszę. A poza tym jesteś okropnie chora, moja biedna dziewczynko... Jeszcze kropelkę? Tak, pij... To przynosi ulgę... I w ten sposób poznasz moje myśli... - Śmiał się. - Są podobne do podwórzowych szczeniąt ssących matkę. Pij. Potem znowu zaśniesz, a wieczorem ze zdumieniem stwierdzisz, że jesteś prawie zdrowa... Ja wrócę do swojej nory. Będę o tobie myślał, Franciszko. O tobie, takiej ładnej w łóżku... Nie jest ci zimno? Przykryję ci dobrze nogi, chociaż szkoda tego robić. Są takie piękne... będę o nich myślał przez cały dzień. Do widzenia! - Doszedł do drzwi, wymachując butelką. Ale kiedy już miał wyjść, rozmyślił się i wrócił do mnie. - Jutro powinnaś zapomnieć o tym wszystkim, co ci przed chwilą powiedziałem.

W przeciwnym razie byłoby niemożliwe dalsze życie, rozumiesz? A jeśli kiedyś o tym sobie przypomnisz... -

Wyglądał strasznie... - Jeśli kiedyś o tym sobie przypomnisz, pozbawię cię pamięci, ot tak... - Zrobił przerażający ruch, mający naśladować duszenie. -I skręcę ci kark, jak wykręca się bieliznę. Do widzenia, dziewczynko!

Rozdział VI

Następnego dnia, mimo że moja pamięć funkcjonowała już normalnie, zachowałam zaledwie jakieś mgliste wspomnienia tego, co się stało. Nie dawałam im wiary. Wiedziałam, że tak właśnie było, ale mimo to wszystko wydawało mi się nieprawdopodobne, moje ja temu zaprzeczało, nie przyjmowało nic do wiadomości.

Wyglądałam okropnie: podbite oczy, bruzdy po obu stronach ust i kilka zmarszczek na czole. Moje ciało było zmaltretowane. Nic mi już nie dolegało, ale bywają wyzdrowienia bolesne.

Osunęłam się na stojące przy stole krzesło: tak pada na brzeg ranna mewa. Część dziewczynek zauważyła moje fatalne samopoczucie i jedna z nich zapytała mnie w czasie przerwy, czy nie jestem chora. Odpowiedziałam, że mam grypę, więc po południu przyniosła mi - o zgrozo! - w celach leczniczych butelkę „Winogronówki”.

Przy porannym spotkaniu na podwórzu Julian Avène rzucił mi zdawkowe „dzień dobry”. Najwyraźniej żałował wszystkiego, co się stało: upicia mnie, a przede wszystkim wygadania się, że ów zamach na mnie został ukartowany przez jego straszną żonę. Miał do mnie żal za wszystkie swoje wynurzenia; po tym upuście słów w postaci zwierzeń i wywnętrzeń, wyznań i grubiaństw teraz całkowicie zamknął się w sobie.

Marta, której poprzedniego dnia nie widziałam, przyszła na dół, kiedy moi uczniowie wchodzili parami do klasy. Uścisnęła mi serdecznie rękę i w tym momencie podchwyciłam jej perfidne, pełne fałszu spojrzenie. Ta kobieta nienawidziła mnie. Chciała, żebym upodobniła się do jej męża.

- Czy pamięta pani o obietnicy danej mi owego wieczoru, droga panno Cassel?

- Prawdę mówiąc, niewiele z niego pamiętam - odpowiedziałam chłodno. - Sądzę, że pani mąż wziął wystarczający odwet za moje złośliwości!

- Przyrzekła mi pani rysunek swojej uczennicy.

- Chyba pan Avène, który zajmuje się starszymi dziećmi, mógłby się postarać o znacznie lepszy?

Zmarszczyła brwi. Kobięcy instynkt mówił jej, że albo wiem, albo przynajmniej domyślam się, iż to ona przygotowała tę zasadzkę.

- Podoba mi się właśnie owa świeżość widoczna w rysunkach pani malców.

- Wobec tego złożę zamówienie - uśmiechnęłam się.

Kiedy moi „Marsjanie” usiedli, uderzyłam linijką w stół, jak robię zawsze, kiedy chcę ich o czymś zawiadomić.

- Kto z was chciałby zrobić rysunek dla pani Avène? - zapytałam.

Spodziewałam się lasu entuzjastycznie wyciągniętych rąk, a tymczasem - ku memu wielkiemu zdziwieniu - nikt nawet nie drgnął.. Powtórzyłam jeszcze raz pytanie, błędząc natarczywym spojrzeniem po moim młodym audytorium. W miarę jak mój wzrok przesuwiał się, „Marsjanie” jeden po drugim spuszczały głowy. Miałam ochotę wszystkich ich ucałować. Czułam, że powstaje między nami nierozzerwalna więź. Należeliśmy - oni i ja - do tej samej grupy ludzi: nienawidzących pani Avène.

- Bardzo dobrze - powiedziałam - skoro tak, sama kogoś wyznaczę. Rysunek wykona René Duranton, ponieważ jest najlepszy z tego przedmiotu.

Ten wybór z jednej strony był ciężarem, z drugiej zaś powodem uznania, czemu wyznaczony chłopiec dał wyraz, przybierając minę zarazem ponurą i dumną.

- A co trzeba będzie narysować? - zamruczał.

- Co chcesz.

- Ja nie wiem!

- A więc zastanowisz się. Przede wszystkim postaraj się...

Po lekcjach, kiedy „Marsjanie” ubierali się na korytarzu w swoje peleryny i kurtki, zawołałam Pawła Boudrier. Podszedł do katedry dość nieśmiało, jakby w przeczuciu, że ta rozmowa

nie będzie dotyczyła spraw szkoły.

- Powiedz mi, Pawle, dlaczego nikt nie podniósł ręki, kiedy prosiłam, aby zgłosił się chętny do wykonania rysunku?

- Nie wiem, proszę pani.

- Popatrz na mnie.

Ten chłopiec miał najbardziej wymowne oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się spotkać. Lubiłam w nim to, co świadczyło o inteligencji - uważne spojrzenie i pojętność.

- Odpowiedz mi szczerze. Gdybym poprosiła o rysunek dla siebie, zgodzilibyście się go zrobić?

- Na pewno, proszę pani.

- No więc?

- Pani Aven? nie jest nauczycielką.

- To jedyny powód?

Wahał się. To, co miał chęć powiedzieć, wydawało mu się okropne, ale jednak zdecydował się:

- A poza tym ona nie jest lubiana.

- Dlaczego?

- Ona jest zła.

- Jak możesz tak mówić! Zrobiła ci coś?

Spojrzał na mnie ze zdumieniem. Moje ostatnie pytanie sprawiło, że zaczął wątpić w moją lojalność.

- To widać...

Wzięła górę jego chłopska natura. Mogłabym teraz przypierać go do muru, a i tak nie skłoniłabym go do żadnych zwierzeń.

- Dziękuję, możesz odejść. Dzielne dzieciaki!

Następnego dnia René Duranton wręczył mi rysunek. Kiedy podchodził z nim do katedry, po klasie rozszedł się szmer. Pozostali chłopcy tręcali się łokciami, dziewczynki parskały śmiechem. Sam mały Duranton (o debilowatej buzi, przypominającej suszoną śliwkę z mysimi oczkami) też miał trudności z utrzymaniem powagi. Nie zapytałam go o powód tej wesołości, bo przerwanie grobli nigdy nie było najlepszym sposobem powstrzymania powodzi. Myślałam, że przyczyną tego niepohamowanego śmiechu jest temat rysunku, toteż z

obawą rzuciłam okiem w jego stronę. Ale nie było w nim absolutnie nic zabawnego.

Przedstawiał wazon z bukietem chryzantem czy margerytek; zgodnie z moim poleceniem chłopiec włożył weń wiele starań.

- Bardzo dobrze - pochwaliłam go.

Cała klasa oszalała, rozległ się dziki wrzask. Z trudem przywróciłam spokój i szybko ukryłam rysunek w zeszytcie. Byłam pewna, że przyczyną tej ogólnej radości był nie rysunek, lecz osoba, dla której był przeznaczony, i że dzieci śmiały się bez istotnego powodu.

Wieczorem, kiedy po przygotowaniu się do lekcji wracałam do siebie, zapukałam do Avène'ów. Otworzyła mi Marta, bez słowa podałam jej rysunek. Wydawała się szczerze wzruszona, ale czy nie była to obłuda? Czyż w środę wieczorem też nie miała słodziutkiej miny?

Wróciłam do siebie i ugotowałam jajka na miękko. Właśnie zabierałam się do jedzenia, kiedy drzwi otworzyły się z rozmachem i ukazali się małżonkowie Avène; robili wrażenie zdenerwowanych. Marta wymachiwała rysunkiem.

- Dziękuję za podarunek - powiedziała rzucając mi go na stół.

- Co się stało?

Zwróciła się do swego męża.

- Ona się jeszcze pyta!...

Avène starał się utrzymać powagę, ale na jego twarzy czaił się zaplątany gdzieś w szczecinie brody cień uśmiechu.

Marta podeszła i pokazała palcem jeden z kwiatów na rysunku.

- Niech pani przyjrzy się z bliska tej margerytce, Cassel.

Otóż i wyjaśnienie przyczyny owego niezrozumiałego, żywiołowego śmiechu moich dzieciaków. Płatki jednego z kwiatów układały się w odpowiednio wymodelowane litery. Obracając rysunek można było odczytać wypisane „na okrągło” zdanie: Gównno dla starej.

- Brawo dla pani uczniów, panno Cassel. Widzę, że w pani klasie kształci się dowcip na równi z uzdolnieniami do rysunków. - Następnie, zwracając się do męża, dodała: - Mam nadzieję, że jutro ty sam zajmiesz się ukaraniem tego małego

hultaja.

- Możesz na mnie liczyć - wycedził przez zęby Avène.

- Myślę, że ta rozmowa nie odbierze pani apetytu, panno Cassel. Dobranoc!

Popchnęła przed siebie Juliana, zmuszając go, by wyszedł pierwszy. Trzasnęły drzwi. Oczekałam chwilę, po czym postawiłam rysunek przed sobą i przyglądając się mu z upodobaniem, zabrałam się do swoich jajek.

Ukaranie małego Durantona zostało następnego dnia zainscenizowane z pompą i ceremoniałem, jaki towarzyszy wykonaniu wyroku kary śmierci.

Rano, po gwizdku, który miał na celu zebranie wszystkich „Marsjan” na lekcje, Avène stanął w wyczekującej postawie w drzwiach szkoły.

- Chwileczkę! - zawołał.

Dotychczas nie zauważyłam przy jego nodze leszczynowej różgi, którą przecinał ze świstem powietrze.

Marta stała w oknie swojego pokoju, skupiona i uśmiechnięta. Przywodziła mi na myśl modliszkę lub pająka przyczajonego na swej pajęczynie.

Różga uderzała o poły powiewającego na wietrze fartucha Avène'a.

- Mamy tu genialnego rysownika, nieprawdaż, René Duranton?

Buzia mojego urwisa przybrała piękny zielony kolor, który zapewne zyskałby uznanie Toulouse-Lautreca.

- Podejź tu!

Ale przestraszone dziecko nie poruszyło się. To Avène podszedł do niego.

- Chcę ci podziękować, René Duranton, w imieniu pani Avène, którą zaraz pójdziesz przeprosić. I dołączam moje podziękowanie... - Uniósł różgę.

Dzieciak skulił się, podnosząc w obronnym geście ręce ponad głowę.

Avène, zaspokajając sadystyczną potrzebę zemsty na dziecku,

miał już uderzyć.

Nie wytrzymałam. Podbiegłam.

- Panie Avène, zabraniam panu go bić! On jest moim uczniem i tylko ja mam prawo ukarać go w sposób, jaki uznam za stosowny.

Juliana zatkało. Odwrócił się powoli, ciągle z uniesioną w górę różgą, nieskończenie śmieszny w tej pozie niefortunnego Ojca Biczownika.

- Doprawdy! - powiedział.

Nie była to właściwa odpowiedź i on o tym wiedział.

- Doprawdy! - powtórzył. I dodał prawie szeptem: - Czy zdaje sobie pani sprawę, w jakiej stawia mnie sytuacji?

- Znakomicie... i kpię sobie z tego! Jeżeli dotknie pan tego chłopca, natychmiast opuszczam szkołę, a powody swojego wyjazdu przedstawię Akademii.

Różga powoli opadła. Na jej końcu tkwił kawałek liścia.

Wszyscy przechodzący koło nas malcy spoglądali na nas judaszowym wzrokiem. Po wejściu do szkoły horda młodych dzikusów, widząc, że nie idziemy w ich ślady, rozwrzeszczała się na dobre. Tłoczyli się przy oknach, za szybami migwały ich rumiane buzie. Podnieceni tym, co się stało, świadomi swojej ważności i ciekawi, jak dalej potoczą się sprawy, podglądali nas.

Na pierwszym piętrze Martą głośno zatrzasnęła okno swojego pokoju, ale jej bladawa twarz prześwitywała przez ażurową firankę.

- Co panią podkusiło? - zapytał Avène.

- Nie mogę patrzeć na bicie dziecka, szczególnie kijem. To jest... to jest podłe!

- A więc ja jestem podlecem? - powtórzył rzucając mi spojrzenie pełne goryczy.

- Tak. Chwyta pan za różgę, aby wziąć odwet za to, że i panu w ten sposób wpajano zasady etyczne. A wymierzenie tej kary na podwórzu miało na celu usatysfakcjonowanie pana żony. To widowisko miało ją uspokoić, nieprawdaż?

- No więc?

- Nic. Myślę, że powinniśmy wejść do budynku.

- Niech pani zaczeka...
- Nie, „Marsjanie” na nas patrzą.
- Przez panią straciłem twarz; czy zdaje sobie pani z tego sprawę?
- Stracił pan twarz w oczach pani Avène czy w oczach dzieci?
- Jest pani małą ladaczną, Cassel.
- Nie sędzę.

Weszłam. Na mój widok wrzawa ucichła. Autor rysunku, René Durant, był przejęty rolą gwiazdora. Biła od niego duma.

Podeszłam do niego, nie spuszczać go ani na chwilę z oka. Nawet nie mrugnął, a policzek, który mu wymierzyłam, wprawił go w pełne zmieszania osłupienie. W jednej chwili zapanowała przeraźliwa cisza.

- Napisziesz mi pięćset linijek! - oznajmiłam, wzięwszy kilka głębokich oddechów dla wyładowania wzburzenia.

Rozległo się pukanie do drzwi. Za szybą zobaczyłam Avène'a patrzącego na mnie z uśmiechem. Jego wzniesiony w górę kciuk wyrażał aprobatę.

Przez blisko godzinę prowadziłam zwykłe zajęcia: naukę pisania maluchów, przepytywanie starszych...

Nagle - bez pukania - wpadł do mojej klasy Avène.

Robił wrażenie szalonego. Miał roziskrzony wzrok, ruchy gwałtowne. Zawadził połą fartucha o piórnik jednego z uczniów; pudełko spadło z głuchym łoskotem. Nie patrząc na mnie, podszedł do czarnej tablicy; dzięki specjalnemu urządzeniu można było pisać po obu jej stronach. Wziął z pudełka kredę i wszedł za tablicę, by napisać coś po jej drugiej stronie. Jego ręka nerwowo, pośpiesznie sunęła po czarnej drewnianej powierzchni; towarzyszyły temu ciche, suche trzaski.

Spod tablicy wystawały tylko jego chude nogi i dół fartucha. Złamał kredę, kawałek upadł na podłogę. Wreszcie opuścił tę iluzoryczną kryjówkę i wrzucił pozostały kawałek kredy do pudełka przymocowanego u spodu tablicy. Następnie zmierzył wzrokiem audytorium i powiedział ze złością:

- Proszę, żebyście wstawali, kiedy dyrektor wchodzi,

zrozumiano?

Dzieci spojrzały po sobie, najsprytniejsze podniosły się, reszta po chwili poszła w ślad za nimi. Avène zaczął, aż wszystkie wstaną, po czym wyszedł, a moi „Marsjanie” zwrócili wzrok w moją stronę.

- Usiądźcie - powiedziałam. - Pan Avène ma całkowitą rację; kiedy ktoś dorosły wchodzi do waszej klasy, powinniście wstać i zachować milczenie.

Obeszłam tablicę, by znaleźć się z jej drugiej strony.

Przez całą jej długość, nieco krzywo, rozpostarte jak sztandar na wietrze, biegło zdanie:

Kocham cię, koleżanko.

Wzięłam sflaczałą gąbkę i starłam kolejno literę po literze.

Rozdział VII

Kiedy moi nicponie wyszli, wróciłam za tablicę. Mimo dokładnego starcia napisu mogłam bez trudu odczytać deklarację Juliana: odwrotna strona tablicy pokryta była kredową papką, która utrwaliła litery.

Przeraziłam się. Deklaracja ta brzmiała jak groźba.

I czy nie była nią rzeczywiście?

Avène był człowiekiem niezrównoważonym; wtłoczony w zbyt ciasne ramy, zdawał się od czasu do czasu szukać ujścia dla swych uczuć. Wyraził mi swą miłość niczym pies manifestujący szczeniem swoje przywiązanie, szukając w ten sposób ucieczki od trawiącej go udreki. Może innej kobiecie pochlebiałoby zdobycie uczucia takiego mężczyzny jak Julian Avène, mnie nie. Odczuwałam tylko strach, jakiego dotychczas nie znałam, strach, który obezwładnia i odbiera mowę. Taki strach wywołuje tylko bliskość własnej śmierci.

Stwierdziłam, że Avène zawsze budził we mnie lęk, nie tylko teraz, po swoim brutalnym wyznaniu, lecz od pierwszego dnia. To się zaczęło w chwili mego przybycia do Glunois, kiedy zobaczyłam go, jak pucował nędzną karoserię swojej „dwukonki”.

Miałam tysiące powodów do niepokoju. Najistotniejszy był fakt, że był żonaty. Młoda dziewczyna, dziewica (a byłam nią mimo pozorów „wyzwolenia”), obawia się żonatego człowieka niczym kura lisa. Jest to lęk, który od zarania dziejów ludzkości odczuwa każda dziewczyna. A poza tym uważałam, że jest stary. Stary nie-tylko ze względu na własny wiek, ale przede wszystkim ze względu na wiek swojej żony. Był pijakiem. Był zły, a może nawet okrutny.

Kiedy wyszłam zza tablicy, zobaczyłam, że Avène stoi w głębi klasy, wparty nogami w podłogę, jak człowiek, któremu grozi niebezpieczeństwo. Nie było w nim jednak nic wojowniczego, kiedy tkwił tak w swoim zrobionym przez Martę byle jakim swetrze z wysokim golfem, w poplamionym atramentem fartuchu i nieodłącznych, śmiesznych, rozklepanych sandałach.

Pewnie zaczerwieniłam się na jego widok, bo poczułam, jak nagle uderzyła mi do głowy fala gorąca.

Weszłam na podwyższenie katedry, jakby stanowiła ona najbardziej niezawodne schronienie. Powinam była odezwać się, ale nie miałam mu nic do powiedzenia.

Podszedł do mnie niemrawym krokiem. Robił wrażenie znużonego, jak człowiek, który przybywa z bardzo daleka. Oparł się łokciami o stół naprzeciw mnie, wziął moje pióro i wbił je w dużą gumkę, na której narysowałam kamień domina (oczywiście podwójną szóstkę).

- Niech pani powie, Franciszko...

- Nie! - broniłam się.

- Franciszko, nie wiem, co mi się stało, a raczej wiem zbyt dobrze. Zdarza mi się to pierwszy raz, więc w moim wieku, rozumie pani, trudno się zorientować, o co chodzi.

Z początku człowiek zadaje sobie pytanie, czy to grypa, czy wrzód żołądka... Jestem chamskim nasieniem, przez całą młodość pracowałem, żeby móc się uczyć... - Po chwili dorzucił szyderczo:

- Jakby podium wysokości dwudziestu centymetrów mogło wynieść człowieka na wyższy poziom. Potem była stara, tam na górze, ze swoimi konfiturami. Miała jaki taki temperament, a mnie się zdawało, że właśnie na tym polega miłość... Ale cóż!

Odkład patrząc na panią, dostrzegam, czym jest to uczucie. Nie zdając sobie z tego sprawy, włożyła mi pani okulary na czubek nosa. Nie była to wcale przysługa. Ale to wszystko zawracanie głowy. Kocham panią, Franciszko...

Ja pana nie kocham.

Wtulił głowę w ramiona, jakby go zdzieliła batem.

- To niemożliwe. Tylko w starych powieściach faceci kochają bez wzajemności.

- Nie kocham pana. Na pewno nie.

Powiedziałam to stanowczym tonem, wytrzymując rozgorączkowane spojrzenie jego błyszczących oczu.

- Niech pani tak nie mówi!

- Mówię tak, bo to prawda. Byłabym wdzięczna, gdyby mi pan więcej nie wspominał o... hm... o tym, panie Avène. W przeciwnym razie będę musiała prosić o przeniesienie!

Myślałam, że odejdzie, ale on ani drgnął.

- To okropne - powiedział - czuję się tak, jakby mnie pani pozbawiła życia. Chciałbym głośno wołać pomocy...

Zobaczyłam, że ma oczy pełne łez. To dlatego tak błyszcząły. Nie wzruszyły mnie jednak te łzy, przeciwnie

- zwiększyły moje przerażenie.

- Proszę, żeby mi pan pozwolił poprawiać zeszyty.

- Zgoda, koleżanko!

Parsknął śmiechem przypominającym tłumiony kaszel i poszedł.

Minęła dobra chwila, nim pozbierałam myśli. Wierzyłam w szczerłość Avène'a. Nie był dowcipnisiem, powiedział mi to wszystko, ponieważ - jak stary wiarus idący do lekarza - naprawdę został do tego zmuszony.

Tego wieczoru na winnicy spadł późnojesienny zimny deszcz, po którym powietrze stało się parne. Przez zaparowane szyby mego mieszkania patrzyłam na nasiąkniętą wodą noc. Nieba nie było widać, a światła Glunois pobłyskiwały w lepkiej wacie. W moim mieszkaniu czułam się zagubiona jak na cmentarzu. Było zimno - jedyne ogrzewanie stanowił piec kuchenny, który

okazał się zupełnie niewystarczający. Po wielkim gmaszysku hulały porywiste wiatry; słyszałam, jak szkoła jęczała niczym statek targany burzą.

Skończywszy mój skromny posiłek, spróbowałam czytać, ale drukowane litery kręciły mi się przed oczami w jakimś szalonym tańcu. Zamykając książkę stwierdziłam, że moje życie zionęło nudą; bardzo lubiłam moich „Marsjan”, ale nie potrafili mi wypełnić życia. Pomyślałam, że powinnam odejść ze szkoły i zająć się jakąś pracą biurową. Kiedy dochodziłam do tego wniosku, rozległo się pukanie do drzwi. Nigdy się nie zamykałam. Ze strachu. Bałam się wyłącznie tego mieszkania, a nie tego, co przychodziło z zewnątrz.

- Proszę!

Ukazała się Marta, spowita w swój peniuar.

- Panno Cassel, chciałabym panią prosić o wielką przysługę...

Już mnie raz prosiła, w środowy wieczór, stara ładacznica!

- ... Czy mogłaby pani wezwać lekarza?

- Co się stało?

Mój mąż jest chyba bardzo chory.

- Chory?

- Niech pani sobie wyobrazi, wypił litr „winogronówki”. Słyszysz pani, co mówię? Cały litr, jakby to była woda, po czym zwałił się jak kłoda. Udało mi się położyć go na łóżku, ale to wygląda niedobrze.

- Dobrze, lecę.

Ten incydent przerwał moje rozczulanie się nad sobą.

Wzięłam nieprzemakalny płaszcz i w strumieniach deszczu puściłam się galopem w kierunku wsi.

Lekarz mieszkał za kościołem, w domku obrośniętym bluszczem. - Był zupełnie młody, o wyglądzie nad wiek poważnego studenta; chodził zawsze w skórzanej kurtce. Siedział jeszcze przy posiłku. Zobaczyłam go przez okno jego pokoju jadalnego. Mieszkał sam, ze starą służącą, która chyba od pół wieku pozostawała w jego rodzinie i której - można powiedzieć - powierzyli go jego rodzice.

Kobieta uprzedziła go o mojej wizycie. Zobaczyłam, jak otarł usta i wstał od jakiejś przypieczonej potrawy, na widok której -

wstyd się przyznać - napłynęła mi ślinka. Znał mnie tylko z widzenia. Spotkaliśmy się kilkakrotnie we wsi i za każdym razem, zaabsorbowany swoimi sprawami, pozdrawiał mnie skinieniem głowy.

- Dobry wieczór pani.

- Proszę, żeby pan poszedł do mego kolegi, panie doktorze. To pilne...

- Zaraz idę.

- Dziękuję.

Wysłałam, ale zawrócił mnie.

- Niech pani zaczeka, po co moknąć, zawiozę panią!

Pobiegł z lekarskim neseserem w rękę do swojej stojącej przed bramą „czterokonki” i podjechał po mnie przed oszklony ganek.

- Na co się skarży?

- Na butelkę „winogronówki” - odpowiedziałam.

- Pokaleczył się?

- Nie spadła mu bynajmniej na głowę, wypił ją.

Prowadząc samochód siedział wyprostowany. Za kierownicą robił wrażenie jeszcze bardziej zaprzątniętego swoimi obowiązkami.

- Co pani rozumie pod mianem butelki?

- Litr, czyli sto centylitrów, jak zostało to określone w książkach do rachunków moich „Marsjan”.

- Pani kogo?

- Moich „Marsjan”; tak nazywam swoich uczniów.

Pozostał poważny i zamruczał posępnym głosem:

- To zabawne! - A po pewnym czasie: - Dlaczego pani kolega wypił tyle wódki?

- Bo ją lubi.

- Żeby tak pić, nie trzeba jej lubić, wprost przeciwnie... Czy on w ogóle popija?

- Tak, nieźle.

Przyjechaliśmy. Podprowadziłam go pod drzwi mieszkania Avène'ów. Sama nie weszłam do nich, lecz wróciłam do swego pokoju.

Upłynęło pół godziny. Usłyszałam, że Marta pertraktuje z

konowałem na podeście schodów, po czym znowu rozległo się pukanie do moich drzwi. To była znów Marta.

- Jak się czuje? - zapytałam.

- Nie za dobrze, czy mogę panią prosić o pójście do apteki? Rozumie pani, nie chcę go zostawić samego...

Mój przemoczony płaszcz, rozwieszony na oparciu krzesła, suszył się przy kuchennym piecu. Włożyłam go; jego mokre dotknięcie przejęło mnie dreszczem. Bez słowa posłam za lekarzem.

W Glunois nie było apteki, podstawowymi lekami dysponował lekarz.

- Czy to coś poważnego? - zapytałam, kiedy usiadłam obok niego w samochodzie.

- Ten facet to szaleniec. Może z tego umrzeć. Co mogło go skłonić do popełnienia takiego głupstwa? Zawsze sobie wyobrażałem, że nauczyciele to ludzie poważni.

- Ja też - westchnęłam.

- Pani tu jest nowa, prawda?

- To moja pierwsza posada.

- Moja też. - Przez chwilę przyglądał się tańczącym po mokrej szosie światłom samochodu.

- I możliwe, że zarazem ostatnia - powiedziałam.

- Nie czuje pani świętego ognia?

- Nie do tego stopnia. Staję się tu neurasteniczką. Przyzna pan, że są powody!

- Tak, są powody.

Weszliśmy do jego domu; zaprowadził mnie do małego pomieszczenia bez okien, obudowanego półkami, na których leżały lekarstwa. Wziął kilka specyfików i wręczył mi je.

- Proszę!

- Ile jestem pani winna?

- Matka pani kolegi zapłaciła za wszystko.

- To nie matka, to żona!

Lekarz zmarszczył brwi.

- Zaczynam rozumieć, dlaczego mógł chcieć zapić się na śmierć.

Myślałam, że odwiezie mnie do szkoły, ale nie zaproponował

mi tego. Przez nieśmiałość. Wykonał swoją pracę i nie miał powodów, by wobec skromnej nauczycielki udawać galanta.

- Dobranoc, doktorze.

- Do widzenia pani.

Ręka w kieszeni nieprzemakalnego płaszcza zaciskała się na lekach, plecy chyliły się pod potężniejącym deszczem.

Rodzaj samobójstwa, jaki wybrał Avène, wydał mi się niewiarygodnie śmieszny. Ani przez moment nie miałam wątpliwości, że to alkohol doprowadził go do tego stanu. Jego nerwy nie wytrzymały niepowodzenia w miłości.

Miłość? Czy naprawdę był zakochany? Skłaniałam się raczej do hipotezy, że od czasu mego przyjazdu wzrosła jego nienawiść do starej żony. Był zakochany nie we mnie, ale w mojej młodości.

Marta czekała na mnie na podeście schodów. Zwrócona bokiem do świetlistego prostokąta otwartych drzwi mieszkania, miała w sobie coś demonicznego.

- Czy chce go pani zobaczyć? - zapytała.

Nie śmiałam odmówić, choć wcale nie miałam ochoty oglądać Juliana.

Zaprowadziła mnie do sypialni. Był to wyjątkowo brzydki pokój. Marta zgromadziła tu wszystko, co tylko zdołała wytrzasnąć, a więc oprawione w ramki z muszelek kolorowe widoczki Nicei, bazarowe błyskotki, naczynia z młotkowanej blachy miedzianej, w których stały doniczki, gipsowe figurki. Jedynym przedmiotem wartym uwagi był krzyż z kości słoniowej, zawieszony w głowach łóżka.

Julian spoczywał w poprzek łoża, z głową zwieszoną nad miednicą, wypełnioną nieczystościami. Miał wywrócone oczy, tak że widać było tylko białka, otwarte usta, a brodę przecinały zygzakowate strużki krwi. Od czasu do czasu cicho pojękiwał.

- Widzi pani, w jakim jest stanie - szepnęła Marta. Wzięła mnie za rękę. - To z powodu pani...

- Co?

- Tego ranka upokorzyła go pani wobec uczniów i to nim tak wstrząsnęło, że...

Chciałam się oswobodzić, ale trzymała mnie mocno.

- Próbowwała go pani zwabić, co? Myśli pani, że nie spostrzegłam pani kokieteryjnych gier?

Z otępieniem wpatrywałam się w ten odrażający obraz.

Wabić tego obrzydliwego pijaka! Nie budził we mnie nawet litości, raczej wstręt. Myślałam sobie, że gdyby teraz nawet umarł, nie zrobiłoby to na mnie wrażenia.

- To pani robota, moja mała!

- Nienawidzę go - wyjąkałam.

- Tak pani mówi, ale ja dobrze wiem, jak jest! Przylazła tu pani ze swoją młodością i lekkimi obyczajami. Pani...

Odepchnęłam jej ramię tak, że się zachwiała, i pobiegłam do siebie.

Po raz pierwszy zamknęłam się na klucz.

„Choroba” pana Avène’a trwała cztery dni. Cztery dni, w ciągu których z trudem borykałam się z dwiema połączonymi klasami. Kiedy rano piątego dnia zszedł jak zwykle na dół, uderzyła mnie chudość jego twarzy. Wydawał się o dziesięć lat starszy. Jego broda połyskiwała srebrnymi pasemkami, przypominał złośliwie narysowaną Własną karykaturę.

Puścił do mnie oko i zamruczał przez zęby:

- Cześć, koleżanko, dałam pani niezły wycisk tym swoim ześwinieniem się, co?

- Jakoś sobie poradziłam.

- Dzięki.

- Jak się pan czuje, panie Avène?

- Jestem zmarnowany, panno Cassel. Grypa ma w tym roku złośliwy przebieg.

Zrozumiałam, że ostry stan już ustąpił. Nie będzie więcej robił aluzji do swojej „wielkiej miłości”. Odtąd będę miała spokój.

Ferie Bożego Narodzenia dostarczyły mi miłej rozrywki. Spędziłam je w Tournon, u matki, która obskakiwała mnie jak mogła.

Kiedy wróciłam w styczniu, prawie zupełnie zatarło mi się w

pamięci wszystko, co zdarzyło się w ciągu pierwszego trymestru.

Aż do wiosny wszystko było dobrze.

Rozdział VIII

Moje stosunki z Avène'ami powoli wróciły do normy. Kłanialiśmy się sobie. Okazjonalnie wymienialiśmy po kilka słów, a nawet kurtuazyjne uśmiechy, tak że w ciągu kilku następnych miesięcy mogłam uwierzyć, iż wszystko mi się tylko przyśniło.

Drugi trymestr nie wniósł wiele nowego. Chorowałam na anginę i przyjechała mama, żeby mnie pielęgnować, a mój kolega zajmował się z kolei moją klasą. Urządzenie mojego mieszkania było bolesnym ciosem dla mojej biednej matki, która cenila sobie komfort i począwszy od trzydziestego roku życia - w wyniku doznanych niepowodzeń - wiodła żywot niczym przeczulona stara panna. Nie zagrzała też miejsca w Glunois, odjechała natychmiast, kiedy spadła mi gorączka, obiecując sobie, że nigdy tu nie powróci.

Warto też wspomnieć o wizycie inspektora, uroczego, gadatliwego grubasa, który przez cały czas swego pobytu dosłownie nie spuszczał oka z mojego biustu. Pozytywnie ocenił moją pracę z uczniami i uznał, że moi „Marsjanie” nie są głupszy od dzieci z okolicznych gmin. Od wiosny moja klasa miała wygląd jakby świąteczny. Upiększałam ją kwiatami i rysunkami, co inspektorowi zdawało się podobać.

Julian Avène zawiadomił mnie podczas popołudniowej przerwy:

- Gruby przepada za panią. Zrobi pani karierę, koleżanko.

Dało mi to sporo zadowolenia, co było dowodem mego zainteresowania tą pracą.

Wielkanoc wypadła tego roku w kwietniu. Zgodnie z panującym w szkole zwyczajem obie klasy miały odbyć przed feriami wielkanocnymi daleki spacer. Niebo było białe z gorąca, a koniki polne używały sobie ile wlezie. Avène zdecydował, że

zbiorową wyprawę zorganizujemy w ostatnią sobotę przed feriami. Wyruszymy rano, o czasie rozpoczęcia lekcji, i podejmiemy wspinaczkę na Grand Felletin (tysiąc trzysta dziewięćdziesiąt metrów). Oczywiście każdy weźmie ze sobą coś do jedzenia.

- Czy bez uszczerbku dla dobrego imienia ciała pedagogicznego mogę włożyć spodnie? - zapytałam Avène'a poprzedniego dnia.

Wybuchnął głośnym śmiechem.

- Oczywiście! Przy wspinaczce jest to dla dam nawet wskazane.

Sądziłam, że jego żona weźmie udział w wycieczce, ale nie, i gdy wyruszaliśmy ze szkoły, Marta stała przyczajona w swoim oknie, między dwiema doniczkami geranium.

Biała droga wkrótce wyprowadziła nas z terenu zabudowanego i wiodła przez nieużytki, już spalone przez słońce pierwszych gorących dni. Szliśmy długim szeregiem, wesoło śpiewając. Avène maszerował na czele, regulując tempo marszu i rytm piosenek. Wyciągnął ze swojej szafy zielone aksamitne spodnie do gry w golfa, białe wełniane skarpetki i zielono-niebieską koszulę w szkocką kratę. Jeszcze nigdy nie był tak elegancki.

Robiąc dobrą minę, szłam na końcu peletonu. Od czasu do czasu Julian odwracał się i pytał:

- Co tam słyhać w ogonie?

Prawdę mówiąc, nie było najlepiej. Włożyłam buty narciarskie w nie najlepszym stanie, które ocierały mi pięty; szłam jak kaleka.

W południe stopy mi już krwawiły, toteż tym razem bez przykrości przyjął gwizdek Avène'a (bo wziął ze sobą swój przeklęty gwizdek) ogłaszający odpoczynek.

Wybrał do tego celu cienistą dolinkę, na której dnie płynął strumyk.

- Będziemy tu jak u siebie - powiedział. - I można będzie oziębic w Wodzie nasze butelki.

Rozłożyliśmy się biwakiem. Starsi pod nadzorem Juliana rozpalili ogień na kuchni polowej zrobionej z dwóch kamieni,

podczas gdy dziewczynki rozpakowywały produkty żywnościowe.

Jeśli chodzi o mnie, wzięłam tylko kanapki i owoce, toteż okrągłymi ze zdumienia oczami patrzyłam na wyjmowane z toreb wieprzowe mięso, zimne kurczęta i sery.

Kiedy mieliśmy rozpocząć śniadanie, Julian podszedł do mnie, otworzył swoją tyrolską torbę i siadając przy mnie, powiedział:

- Zapraszam panią, koleżanko.

- Mam, co trzeba - ucięłam.

- Nie tylko ja jestem tego zdania. Ta pani niby-zakąska nadaje się akurat, by ją przełknąć w bufecie kolejowym podczas przesiadki - między jednym a drugim pociągiem. Kiedy się pochłania kilometry, trzeba solidnie się odżywiać! Okazuje się, Cassel, że umie pani kempingować tylko w swoim pokoju!

Z powagą wręczył mi kielbaski posmarowane musztardą, udko kurczaka i kawał tortu śmietankowego, który mogłoby zaspokoić głód tuzina będących na czczo żarłoków. Następnie wyciągnął rękę i wyłowił z potoku litrową butelkę wina; była hermetycznie zamknięta, a u szyjki miała uwiązany sznurek.

- Oto łyk wina ofiarowany pani przez firmę „Lodówka”!

Odmówiłam, mając w pamięci owo okrutne doświadczenie, jakie wyniosłam z jego domu.

- Nie, dziękuję. Wolę moją zimną herbatę!

- Herbata na drugie śniadanie! Oto czego uczy nasze dzieciaki mieszkanka Marsylii! Niech mnie pani nie doprowadza do wściekłości, Cassel, ten dzień jest na to zbyt piękny.

W trakcie tej perory otworzył butelkę i napełnił szklanekę. Musujące czerwone wino wyglądało bardzo apetycznie.

- Nie mam najmniejszej ochoty upić się!

- Nie grozi to pani, Ligo, to zupełnie niegroźne wino. Jedyne kolorem różni się od wody z tego potoku...

Wypiłam. Wino było lekkie i miało przyjemny owocowy smak.

- Niezłe, co? To kempingowe wino. Stawia na nogi, zamiast obezwładniać. Jeszcze szklaneczkę?

- Nie.

Nie nalegał. Jedliśmy pilnując „Marsjan”. W głębi doliny upał

nie dawał się we znaki tak jak na drodze. W gałęziach olchy świergotały ptaki, a szum płynącego potoku zachęcał do picia.

- Wracamy zaraz po jedzeniu? - zapytałam.

- Dlaczego?

- Bołą mnie nogi.

- Biedne kochanie! - Zdał sobie sprawę ze swego zuchwalstwa i zaczerwienił się. - Chciałaby pani jeszcze tu zostać?

- Ja tak, ale dzieciaki...

- Niech się pani o nie nie martwi, zorganizuję gry. Podniósł się, zagwizdał bardzo głośno, dla zwrócenia ogólnej uwagi, i oznajmił: - Zmiana planu-nie wchodzimy na Grand Felletin.

Rozległ się szmer dezaprobaty.

- Cisza! - krzyknął Avène. - Zorganizujemy wspaniałą grę. A teraz niech podniosą ręce ci, którzy są niezadowoleni...

Powoli uniosło się kilka rąk.

-... każę im napisać dziesięć razy „Być niezadowolonym bez powodu”.

Zuchwale wzniesione ręce szybko opadły.

- Widzę, że zyskałem ogólne uznanie - stwierdził Julian. - Jednomyślność jest zjawiskiem podnoszącym na duchu, dającym poczucie siły.

Znowu przysiadł się do mnie.

- Jest mi bardzo przykro z ich powodu – szepnęłam.

- Niech się pani nie przejmuję. Każę im bawić się w chowanego. Ta gra umożliwi chłopcom obmacywanie dziewczynek, co obie strony bardzo lubią. Wiejskie radości są, koleżanko, najpiękniejsze. - Rzucił skrzydełko kurczęcia niczym miniaturowy bumerang i położył się na wznak. - No cóż, dziś kocham życie - stwierdził. - A pani nie?

- Ja raczej też.

- Czuję się, jakbym miał dwadzieścia lat, a pani?

- Ja właśnie tyle mam.

- To wcale nie wyklucza, by czuć się inaczej. - Przytknęła dłoń do czoła, by osłonić oczy przed promieniami słońca. - Czuć się dwudziestolatkiem, kiedy ma się dwadzieścia lat, to straszne! Ale czuć się tak, jakby się miało sto lat, kiedy ma się trzydzieści sześć, to naprawdę ponura sprawa. - Podniósł się, usiadł po

turecku i ciągnął dalej: - Zwykle jestem ponury. Stwierdzam to za każdym razem, kiedy patrzę w lustro. Ponury! Jak mój własny pogrzeb, na którym nie będzie muzyki. Gram w nim wszystkie role, jestem karawaniarzem i karawanem, koniem, który go ciągnie, i wiezionym nieboszczykiem, płaczącą rodziną i obojętnymi uczestnikami tej ceremonii, żartującymi sobie ze zmarłego. „Ten biedak Avène, chociaż miał mordę płaszczy, a charakter świni, był częścią naszej rzeczywistości. A poza tym był dobrym nauczycielem. Tłukł dzieciaki, bo hołdował starym metom, ale dziewięćdziesiąt pięć procent pomyślnie kończyło naukę”. - Wybuchnął śmiechem.- Niech pani powie, Franciszko...

Nazywał mnie Franciszką, ale mnie to nie raziło.

- Niech pani powie, Franciszko, co trzeba, pani zdaniem, spróbować zrobić, żeby przestać być ponurym? Może nosić koszule o barwach trójkolorowego sztandaru i przyczepić sobie na tyłku strusie pióro?

- Raczej powinien pan spróbować nie pić.

Wykluczone!

- Szkoda, bo przyczyną tego, że jest pan ponury, jest, przede wszystkim wino.

- A poza tym?

- A poza tym niech pan spróbuje zgolić brodę...

Przestał się śmiać.

- Dlaczego?

- Ta broda nie pasuje do pana tak bardzo, że wydawała mi się sztuczna.

- Stara nigdy się na to nie zgodzi, Franciszko.

To niech się pan ogoli nic jej o tym nie mówiąc. A po fakcie już nie będzie mogła jej panu przykleić! No nie?

- Chce więc pani zniszczyć moje szczęście? - parsknął śmiechem, wymawiając słowo „szczęście” z zabawnym tremolandem. - Czy nie ma pani dla mnie innych rad?

Miałam pewną radę, zupełnie zasadniczą, ale nie śmiałam jej wypowiedzieć. Bo przecież nie można zapytać mężczyzny: „Na co pan czeka z rozwodem?”

- Nie, nie mam innych rad, panie Avène.

- A tamte rady nie są najlepsze - powiedział bez gniewu. - Podniósł się i zagwizdał. - Dość żerowania, kijanki obzartuchów! Będziemy się bawić w (chowanego. Nie wolno wychodzić poza to pole. Ten, który kryje, będzie miał pięć minut na znalezienie wszystkich, a ten, kto zostanie znaleziony jako ostatni, będzie krył, zgoda?

- Tak! Tak! Tak!

- Widzi pani, Franciszko, zabawa w chowanego działa cuda!

Pilnował całości, stojąc pośrodku pola. Miał oko na wszystko. Kiedy kryjący próbował oszukiwać, przywoływał go do porządku za pomocą krótkiego gwizdka; również gdy któryś z chłopców usiłował wdrapywać się na drzewo, gestem dezaprobaty przypomniał mu o nakazie ostrożności.

Zdjęłam buty i wyciągnęłam się na trawie, nad brzegiem strumienia. Sprawiał mi przyjemność chłód idący od wody i jej delikatny, niczym nie zmacony szum. Trochę ocieżyła po winie i dobrym jedzeniu chyba zdrzemnęłam się nieco. Dochodził wprawdzie do mojej świadomości zgiełk zabawy, ale wydawało mi się, że hałas dobiega gdzieś z daleka. Wszystko było odległe, bujałam wśród pól jak oszołomiona upałem ważka.

Zbudziłam się, poczuwszy, że coś ociera się o moją prawą nogę. Było to dotknięcie lekkie, ale nieustępliwe. Kiedy chciałam odpędzić natręta, poczułam dotkliwe ukąszenie w udo. Pomyślałam, że to osa, i usiadłam. Nie była to jednak osa, lecz żmija. Ukąsiła mnie przez spodnie i teraz pełzła, oddalając się bez pośpiechu.

Myślałam, że zwariowałam. Zaczęłam krzyczeć ze strachu! Jeden przeblysłk myśli wystarczył, by stwierdzić, że moja sytuacja jest krytyczna. Od zbawczej surowicy dzieliło mnie wiele kilometrów. Nosilaam w sobie śmierć, która już rozpoczynała swoje dzieło! '

- Co się pani stało?

Julian!

I wówczas po raz pierwszy spojrzałam na niego inaczej, niemal go apoteozując. Istota nadprzyrodzona! Człowiek, który może mnie ocalić! Człowiek, który może próbować coś zrobić.

- Żmija! Ukąsiła mnie.

Spojrzał na trawę, na której żmija pozostawiła kręty ślad. Gad zniknął już pod pniakiem.

Julian zbladł, ale widziałam, że stara się zapanować nad zdenerwowaniem; ujęło mnie to.

- Gdzie panią skaleczyła?

- W udo.

- Niech się pani nie rusza i spuści spodnie...

Mimo przerażenia, jakiego przed chwilą doświadczyłam, zawahałam się.

Julian przytknął gwizdek do ust i wydobył zeń całą serię przeraźliwych dźwięków.

- Panna Cassel została ukąszona przez żmiję - zawołał. - Starsi chłopcy pobiegną na drogę, a następnie na szosę. Zatrzymają pierwszy przejeżdżający samochód i poproszą kierowcę, żeby na nas zaczekał. Wszyscy pozostali ustawią się szeregiem na drodze. Szybko! I bez głupich pomysłów!

Odrzuciłam wszelki wstyd, opuściłam spodnie poniżej bioder.

Na udzie widniał wyraźny ślad ukąszenia. Okolice ranki była brzydko zaczerwieniona i zaczynała już puchnąć.

Trzęsłam się ze strachu. Niemal czułam, jak jad krąży w moich żyłach. Moje ciało - począwszy od nóg - obejmował lodowaty chłód. Będzie szedł coraz wyżej, będzie mnie powoli paraliżował, aż wreszcie zatrzyma akcję serca. Przypomniałam sobie przekrój głowy żmii na kolorowej planszy szkolnej.

Ząb jadowy podobny do koguciej ostrogi, gruczoł jadowy, zęby jak u szczupaka i rzędy łusek między okiem a pyskiem. Ten przerażający, ale na rysunku pozbawiony realizmu mechanizm, został uruchomiony przeciwko mnie, być może, zdecydował o mojej śmierci...

Julian objął obiema rękami moje udo, tak że ślad po ukąszeniu został zamknięty w kręgu jego palców.

Łkałam żałośnie.

- Boję się - mówiłam - boję się... Zaraz umrę. Ja nie chcę, ja nie chcę...

Wsluchiwałam się we własne skargi. Mój pełen przerażenia lament brzmiał niczym słowa zaklęcia.

- Ależ nie, nie umrzesz, moje kochanie... Ależ nie, ależ nie, przysięgam ci, że nie - jękając się, powtarzał Julian jak echo.

Do bólu uciskał mi ciało w okolicy ukąszenia. Nagle pochylił się nad moim udem i przytknąwszy usta do ranki, zaczął ją z całych sił wysysać. Kiedy byłam mała, opowiadano mi różne historie o ludziach ukąszonych przez żmije, którzy zostali uratowani dzięki temu, że ktoś wyssał jad. To jest możliwe, mówiono mi, pod warunkiem że nie ma się w ustach ranki.

Wysysał zranienie z jakąś drapieżną zachłannością. Jedyne od czasu do czasu na moment przestawał, by wypluć zabójczy płyn. Trwało to dość długo. Następnie wyjął z kieszeni swój szwajcarski scyzoryk, otworzył mniejsze ostrze i powiedział:

- Nie patrz, na Boga!

Skierowałam wzrok ku niezmiernemu niebu, które być może, miało na zawsze stracić dla mnie swój blask. Poczułam, że ostrze zagłębia się w moje ciało. Nie krzyknęłam, a ból, który poczułam, uspokoił mnie. Opuściłam wzrok. Po udzie płynęła strużka krwi. Julian starał się wzmóc jej upływ, energicznie masując nogę. Ciemnoczerwony płyn połyskiwał w słońcu. Na ukrytych w brodzie ustach Juliana czaił się dziwny grymas. Po chwili zaprzestał prowokowania rany do krwawienia. Zdjął pasek, założył mi go bardzo wysoko na udzie i zacisnął go. Podciągnął mi spodnie i wziął mnie na ręce.

- Mogę iść - wyjąkałam.

- Nie, nie trzeba pobudzać krążenia.

Podziwiałam jego wspaniałe opanowanie i stanowczość. Przeszedł, niosąc mnie, przez całe pole, aż do drogi. Dzieciaki, jak na paradzie, ustawiły się wzdłuż stoku. Obserwowały w milczeniu wszystkie fazy operacji.

- Idźcie pozbierać swoje rzeczy - nakazał Avène. - A najważniejsze - patrzcie dobrze, gdzie wkładacie ręce, bo są tu, jak widzicie, żmije. Dopilnuje was Martyna Piechut. A w razie wygłupiania się będzie w robocie leszczynowa różga i dwanaście czasowników. Martynko, sprowadzisz wszystkich na drogę.

Powiedziawszy to, szedł, a raczej prawie biegł dalej. Czułam, że mimo swej chudości jest niezwykle silny. Odnosiło się wrażenie, że dźwiga mnie bez trudu.

Zarzuciłam mu ręce na szyję. Źle się czułam. Zdawało mi się, że coraz trudniej mi oddychać. Noga rwała okropnie, a chłód obejmował coraz wyższe partie ciała. Chyba szlochałam, bo czułam w ustach słoność łez.

Julian wciąż biegł. Niekiedy łapała go czkawka.

- Nie bój się, moje maleństwo. Nie bój się, nic ci nie będzie...

Przebyliśmy w ten sposób prawie kilometr. Czas szybko płynął. Czy ilość jadu, jaka przeniknęła do krwi, jest tak duża, że może mnie zabić?

- Boję się, Julianie.

- Po tym, co zrobiłem, niczego się nie bój, mogą wystąpić najwyżej jakieś drobne dolegliwości.

Skąd miał tyle siły, żeby nieść mnie biegnąc i mówiąc?

- A poza tym ukąszenie żmii, nawet pozostawione samo sobie, nie zawsze jest śmiertelne.

- To była, Julianie, żmija koloru rudobrazowego, widziałam ją. Te są najgorsze...

- To nie ma znaczenia..

- A poza tym mamy początek roku, żmije obudziły się z zimowego snu, więc jad działa w tym okresie silniej...

- Bądź spokojna. Przysięgam ci, Franciszko, że...

Z czoła spływały mu grube krople potu i kapały na moją twarz. Nie budziło to we mnie wstrętu.

„Mój Boże, jakież on piękny! - majaczyło mi się gdzieś w podświadomości. Jakże mogłam uważać, że jest brzydki? Jakże mogłam myśleć, że jest złośliwy? Przecież to święty!”

Podobał mi się jego męski zapach, podobało mi się drzenie jego mięśni w zetknięciu z moim ciałem...

Wciąż biegł. Słyszałam odgłos jego szybkich kroków na suchej drodze. Cała natura sławiła bliskość lata. Nagle zatrzymał się. Z daleka dobiegał warkot silnika. Stawał się coraz wyraźniejszy.

- Ciężarówka! - powiedział Julian.

I wtedy chwyciły go gwałtowne dreszcze. Tak reagował na dotychczasowe napięcie.

Na platformie ciężarówki stali wysłani po pomoc chłopcy; machali rękami i krzyczeli co sił w płucach. Ciężki samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu dróg: ułatwiało to manewrowanie. Kierowcą był młody, roześmiany Algierczyk.

Avène posadził mnie na miejscu obok kierowcy.

- Niech się pani nie rusza - powiedział. Dał znak wysokiemu chłopcu z ogoloną głową, który był prymusem w jego klasie. - Reszta zaraz przyjdzie. Zaprowadzisz ich do dużej wsi, przez którą przechodziliśmy, kiedy szliśmy w tamtą stronę. Będziemy na was czekali w aptece...

Ciężarówka ruszyła. Julian stał na stopniu, na zewnątrz samochodu, trzymając się drzwi. Mrugał do mnie uspokajająco. Kierowca brnął przez pokrytą kurzem drogę. Jego stara ciężarówka, skrzypiąc, podskakiwała na wybojach niczym rondel przyczepiony do psiego ogona.

Odległość, która wydawała mi się taka duża, kiedy szłam w moich grubych butach, pokonaliśmy w ciągu kilku minut. Zatrzymaliśmy się przed małą wiejską apteką; jej witrynę zdobiły ogromne żółte i zielone słoje. Avène wbiegł do wnętrza.

Wyszedł rozpromieniony.

- Mają surowicę, niech pani idzie.

Znów wziął mnie na ręce.

Pigularz już przygotował strzykawkę. Był to miły, drobny staruszek z bródką, którego łysą czaszkę zdobiła czarna, wyszmelcowana wskutek częstego użytkowania piuska. Pod białym fartuchem, usianym różnokolorowymi plamami, miał czarny, pochodzący z ubiegłego wieku garnitur, a przez brzuch biegł łańcuch okazałego zegarka.

- Jak dawno została pani ukąszona?

- Przed dwudziestoma minutami - odpowiedział Julian.

- A zatem na pewno obejdzie się bez poważniejszych komplikacji.

Zagłębienie się w moim ciele zbawczej igły odczułam jak rozkosz. A kiedy wszystko było już poza mną, wybuchnęłam płaczem. Nie były to jednak łzy przerażenia, lecz ulgi.

- Julianie, niech pan też poprosi o zrobienie zastrzyku

- mówiłam popłakując - wysysał pan ukąszenie i... -

Stary aptekarz pociągnął go w kierunku oszklonych drzwi i kazał otworzyć usta.

- Nie ma najmniejszego zadraśnięcia - powiedział. - Na wszelki wypadek niech pan przepłucze usta alkoholem...

- Wolę tak - odpowiedział ironicznie Julian.

Nagle poczuliśmy się bardzo głupio. Teraz, kiedy niebezpieczeństwo zostało zażegnane, nie mieliśmy odwagi nie tylko rozmawiać, ale niemal patrzeć na siebie.

Kierowca ciężarówki wraz z dziećmi czekał na zewnątrz. Stali na małym, wystawionym na działanie słońca placu i paplali swobodnie i głośno.

Avène zapłacił aptekarzowi.

- Czy ktoś tu jeździ jako taksówkarz?

- Tak, piekarz.

Przywiózł mnie do Glunois samochodem. Towarzyszył mi Paweł Boudrier i on to właśnie opowiedział Marcie o mojej strasznej przygodzie.

Rozdział IX

Nazajutrz, a była to niedziela, miałam lekko podwyższoną temperaturę i byłam naprawdę do niczego. Dokuczały mi jakieś zawroty głowy i kołatanie serca, ale w końcu wszystko to ustąpiło.

Marta, muszę to przyznać, opiekowała się mną z całym oddaniem. Jej zachowanie cechowała pewna afektacja, niemniej jednak podawała mi lekarstwa, zmieniała opatrunki na nodze, a wieczorem przyniosła rosół z kluskami i zmusiła, żebym go zjadła. Ponieważ zasiedziała się u mego wezgłowia (tymczasowo porzuciłam namiot i leżałam w łóżku), przyszedł po nią Avène.

- No jak tam, wężowa kobieto?

W jego głosie dźwięczał jakiś fałszywy ton. Wyglądał tak samo źle jak ja.

- Nie miał pan żadnych dolegliwości? - zapytałam.

Zrobił wielkie oczy. Marta zadrżała.

- A dlaczego miałby mieć? - zaniepokoiła się.
- Cassel wyobraża sobie nie wiadomo co - wmieszał się Julian.
- Ponieważ wyssałem miejsce ukąszenia, wydaje jej się, że noszę w sobie jad. - Roześmiał się nienaturalnie. Był znowu - jak niegdyś - biednym, przestraszonym poczciwiną. - Za trzy dni rozpoczynają się ferie - powiedział. - Po tym, co zaszło, radzę, żeby pani wcześniej zrobiła sobie wolne i pojechała jutro do Tournon. Zajmę się pani „Marsjanami”...

Potrząsnęłam przecząco głową.

- Nie, dziękuję, mam inne plany, zamierzam tutaj spędzić ferie.

Marla zamarła.

- Ach, tak?

- Moja matka pojechała do Paryża, do jednej ze swych sióstr, sądząc z jej ostatniego listu, ma zamiar posiedzieć tam do maja. Co robiłabym w Tournon sama, w mieszkaniu, którego nie znoszę?

Zapanowała denerwująca cisza. Zdaje się, że moja decyzja wpłynęła na znaczne pogorszenie samopoczucia Marty. Przyglądała mi się z niezdecydowaną miną.

- Co będzie tu pani robiła sama? - zapytała w końcu szeptem.

- Sama? - rzucił Julian. Robił wrażenie zdziwionego.

- Dobrze wiesz, że moja kuzynka z Valence nalega, żebyśmy przyjechali do niej na tydzień. Odkładamy to już od lat...

- Ale...

- Co?

- Do dziś nie było o tym mowy.

- Miałam zamiar porozmawiać z tobą na ten temat. Zresztą dziś rano napisałam do Heleny list, zapowiadając nasz przyjazd.

Było oczywiste, że kłamie. Nie wiem, w jaki sposób Julian zdołał się opanować. Był blady, jego ręce zaciskały się na oparciu mego łóżka. Stawy dłoni uwypukliły się i przybrały kolor malwy. W tym momencie zdałam sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraża się Marta. Trzeba było być jego żoną, aby nie dostrzec, że miał ochotę ją zabić!

- Pojedziemy w czwartek rano. - Odetchnęła głęboko.

- Nie będzie się pani zbyt bała zostać zupełnie sama w tym dużym, pustym budynku?

- Nie wiem, może...

Rzuciła mi przeciągłe spojrzenie, uśmiechając się złośliwie. Był to uśmiech trupiej czaszki, ukazujący wszystkie zęby.

Marta wyglądała na starszą niż ten świat.

Wyjechali w czwartek, zgodnie z zapowiedzią Marty. Od mego przyjazdu do Glunois Avène nie używał swojego 2CV.'

Wyjazd nastąpił o świcie. Nie pożegnali się ze mną. Wstałam, słysząc warkot silnika. Teraz z kolei ja stałam na czatach w oknie, żeby zobaczyć, co działo się na podwórzu.

Julian załadował do bagażnika samochodu dwie walizki oraz pudełko z królikami, które Marta uśmierciła poprzedniego dnia. Kilkakrotnie podnosiła ukradkiem wzrok w moją stronę - nasze spojrzenia spotykały się.

Marta pilnowała załadunku. Kiedy poszła otworzyć bramę, Avène przed ruszeniem z miejsca rzucił mi milczące pozdrowienie. Po ruchu jego warg poznałam, że wymawia trzy sylaby. Nie zrozumiałam ich. Następnie samochód oddalił się. Nadeszła samotność, zimna i czarna niczym zimowa noc.

Po południu tego samego dnia znalazłam sposób na złagodzenie moich strachów, a pomysłu dostarczył mi i tym razem mój namiot. Skoro jest ładnie, dlaczegoż nie miałabym go rozbić na powietrzu?

Za podwórkiem rozciągał się rozległy ogród. Marta na jego kawałku, tym leżącym bliżej domu, hodowała sałatę i pory, natomiast dalsza część leżała odłogiem; był to kawałek, który przypadł do użytkowania mnie, ale oczywiście nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby go uprawiać.

Cały ranek upłynął mi na urządzaniu obozowiska. Podczas tej pracy zdawało mi się, że naprawdę przyjechałam tu na wakacje. Miałam wrażenie, że dopiero co wylądowałam w tej wsi w departamencie Ardeche i patrzę na nią oczami turysty.

Odkrywałam ciekawe szczegóły, takie jak kogutek na kościelnej dzwonnicy czy też pokryte gęstą siecią małych szybek okna niektórych solidnych domostw farmerskich, które rozsiadły się na okolicznych wzgórzach. Chwytałam wzruszające odgłosy dochodzące z pobliskiej kuźni, rozgłosny klekot drewnianych kijanek, używanych codziennie przez praczki, czy ujadanie łańcuchowego psa z sąsiedniej posesji. Słyszałam nieustanny chrobot kółka, którym zakończony był łańcuch; przesuwano się ono po żelaznym drucie, który wyznacza psią przestrzeń życiową.

Około południa stara kobieta w czerni, matka Morin, przyniosła trawę dla królików Marty. Przychodziła czasami pomagać żonie mego kolegi w sprzątaniu szkoły. Ograniczyła się do pozdrowienia mnie nieznacznie, pełnym dezaprobaty skinieniem głowy; najwidoczniej Marta naopowiadała jej różności na mój temat. Wzdrygnęła się, zobaczywszy mnie w ogrodzie w szortach, koło namiotu rozbitego pod ogromną jabłonią.

W oczach tej staruchy byłam dziewczyną upadłą. A mnie bawiło jej zgorzenie.

Popołudnie upłynęło w letnim odrętwieniu. Było gorąco, w powietrzu było pełno podnieconych owadów, które brzęczały w pobliżu drzew.

Zaopatrzyłam się w książki i rozciągnięta na trawie, niczym podprefekt Daudeta, czytałam aż do wieczora.

Kiedy wieś zaczęła się upodabniać do kościelnego witraża, zjadłam obiad - chleb z masłem i mleko.

Nie chciało mi się pójść do odległego o pięćdziesiąt metrów zamkniętego sanktuarium, by sobie coś ugotować. Moją jedyną prawdziwą własnością był ten wciśnięty między mury prostokątny kawałek ugoru.

W mroku, który miał kolor malwy, fruwały jaskółki, muskając dachy i wydając ostre piski. Bardzo wysoko, w strefie jeszcze oświetlanej przez ostatnie promienie słońca, kłębiły się małe, wędrujące chmurki. Wzięłam fujarkę i przykucnąwszy u wejścia do namiotu, zaczęłam grać. Fujarkę tę znalazłam podczas transportu mego sprzętu kempingowego, na dnie

małego żelaznego kuferka, jakiego używają oficerowie.

Spod moich palców płynęły piskliwe tony. Grałam „Noc” Rameau. Dmuchałam w fujarkę, śpiewając jednocześnie w myśli tekst.

O nocy, twoja cisza głęboka jak morze...

Kiedy przestałam grać, noc wysłuchała mojej prośby: zawładnęła wszystkim, nawet najwyższymi szczytami rozgwieżdżonego nieba.

Ogarnął mnie nieprawdopodobny spokój. Byłam samym spokojem i łagodnością. Ta noc w Ardeche, wieczorne powietrze i ostre tony fujarki sprawiły, że osiągnęłam jakiś cudowny stan łaski.

Nie myślałam o niczym. Doświadczałam jakiejś łagodnej szczęśliwości, czegoś zbliżonego do zwierzęcego błogostanu.

I właśnie wtedy go spostrzegłam.

Stał oparty plecami o ścianę szkoły, a daszek umieszczony nad drzwiami rzucał cień, który jeszcze zagęszczał ciemność nocy; spod jego osłony mógł mnie słuchać nie będąc widzianym. Dostrzegłam go, kiedy się poruszył. Krzyknęłam cichutko.

- Niech się pani nie boi - powiedział szeptem, zbliżając się - to ja.

Poznałam jego głos, ale nie poznałam jego samego. Wyglądał inaczej niż zwykle. Zupełnie jak młody człowiek.

- Zgolił pan brodę?

- A czy mi pani tego nie radziła?

Wydawał się o dziesięć lat młodszy, ale jeszcze bardziej niż to odmłodzenie uderzyła mnie łagodność rysów jego twarzy. Miał spojrzenie pełne powagi i nieśmiałości, jak niektórzy młodzi księża, u których życie wywołuje rumieniec zawstydzienia.

- Ładnie pani śpiewa, Franciszko...

- Ależ ja tylko grałam, nie śpiewałam.

- A mnie się zdawało, że pani śpiewała.

To mną wstrząsnęło. Śpiewałam tylko w myśli, więc jego duch, by ten śpiew odebrać, musiał być bardzo blisko mnie.

- Jak to się stało, że pan tu jest?

Uklęknął przy mnie. Zerwał długie źdźbło trawy i muskał się

nim po uchu.

- Złapało mnie to w Valence. Powiedziałem sobie: albo ją zobaczę dziś wieczór, albo się zabiję. To jest bardziej prawdopodobne, słyszysz, koleżanko? To jest bardziej prawdopodobne...

- A... A ona?

- Nie wiem. Została u rodziny, a ja powiedziałem, że jadę zobaczyć się z jednym z moich kolegów ze szkoły w Tain l' Hermitage, i pojechałem... Najpierw poszedłem do fryzjera i kazałem się ogolić; to idiotyczne, no nie?

- Nie.

Zalatywało od niego wiejskim salonem fryzjerskim. Goździk czy paproć - nie sposób rozpoznać!

- A co ona na to powie?

- Nic mnie to nie obchodzi!

Jego pełne okrucieństwa spojrzenie przekonało mnie, że naprawdę nic go to nie obchodzi, i przestraszyłam się.

- Ona będzie się martwiła...

- To nic. Proszę panią, Franciszko, niech mi pani o niej nie mówi. Wydaje mi się, że nigdy nie istniała. Wszystko to jest równie mgliste jak te przelotne doznania, o których nie wiadomo, czy są częścią tego czy innego życia. Nie mogę żyć z dala od pani. Zatrzasnęły się jakieś drzwi, pani rozumie, Franciszko? Jestem chory z miłości, jestem śmiertelnie zakochany. A zresztą czy pani nie sądzi, że śmierć jest siostrą miłości?

- Niech pan tak nie mówi.

- Boi się pani mnie?

- Tak.

- Dlaczego się pani boi?

- Po prostu boję się, tego nie da się wytłumaczyć.

- A pani mnie wciąż nie kocha?

- Nie wiem.

To, co do niego czułam, należało do innej sfery doznań. A uczucie to narodziło się wówczas, gdy niósł mnie na rękach, walcząc o czas z jadem żmii. Działał na mnie fizycznie.

Avène (ale czy ten bez brody mężczyzna był rzeczywiście

Avène' em?) umieścił źdźbło trawy na czubku wskazującego palca, zrównoważył je, i usiłował, odpowiednio manewrując palcem, zapobiec jego upadkowi. Mogło się wydawać, że poza tą zręcznościową wprawką nic go nie obchodzi.

- Powinien pan wrócić do Valence!

- Nie!

- Dlaczego?

- Gdyby w baku mojego pudła zabrakło benzyny, nie pytałaby pani, dlaczego nie może dalej jechać, prawda? A więc po prostu skończyła mi się benzyna.

- Rozwiedzie się pan?

Nic nie odpowiedział i pozwolił spaść swojemu źdźbłu trawy.

- Widzi pani, koleżanko, dotychczas lubiłem swoje życie, swój zawód, swoje przyzwyczajenia, swoją brodę, a być może, w głębi duszy również swoją żonę. Wszystko to razem było czymś w rodzaju obronnego szańca.

- Broniącego przed czym?

Zastanawiając się nad odpowiedzią, przechylił głowę na bok jak ktoś, kto wsłuchuje się w niewyraźny odgłos, pragnąc go zidentyfikować.

- Może przed sobą samym. A także niewątpliwie przed innymi ludźmi.

Jego policzki, które od lat nie zaznały dotknięcia brzytwy, były dziwnie błyszczące.

- Wydaje mi się, że to nie pan.

- Z powodu...

I przyłożył do podbródka grzbiet dłoni.

- Tak. Żeby sobie z tego w pełni zdać sprawę, musiałabym zobaczyć pana w pełnym świetle.

- To łatwe.

Wczołgał się do namiotu. Na oficerskim kufierku ustawił amerykańską lampę „Sportsman”, która dawała światło równie silne jak reflektor samochodowy. Julian skierował jego strumień wprost na swoją twarz.

- Proszę bardzo!

Piękna, poważna twarz! Piękne, ogniste spojrzenie! Piękna, rozwichrzona, pofalowana czupryna! Jakże był daleki od

niepozornego brodacza palącego glinianą fajeczkę, która miała nadać mu pozór artysty; daleki od gniewliwego nauczyciela, bijącego dzieci; daleki od sarkastycznego kolegi, który chcąc mnie upokorzyć, zmuszał do picia.

- Pan jest piękny!

- Czyżby?

- Tak!

Zgasił lampę. Słysząc było, jak oddycha dusznym powietrzem namiotowego wnętrza. Tkwiłam u wejścia, siedząc po turecku. Z mroku wychyliła się jego ręka i spoczęła na moim nagim udzie.

Próbowałam ją odepchnąć, ale nagle odeszły mnie siły. Dobrze mi było z opanowującym mnie niepokojem, sprawiało mi przyjemność palące dotknięcie tej wilgotnej dłoni, a także przyspieszony rytm jego niewidocznego oddechu.

- Powiedz, Franciszko, że to ty.

- To ja.

- Czy zechcesz mnie nazywać Julianem?

Po co mówił? Nienawidziłam go za to, że nie potrafił milczeć.

Mówiąc działał przeciwko sobie, bo jego słowa sprawiały, że zachowywałam przynajmniej częściową przytomność umysłu. W przełomowych momentach mężczyźni wykazują całkowitą nieznajomość podstawowych zasad psychologii.

Na udzie - w miejscu ukąszenia przez żmiję - miałam wciąż jeszcze opatrunek. Palce Avène'a zatrzymały się właśnie na nim.

- Jedyne pocałunek, jaki kiedykolwiek złożyłem na twoim ciele - szepnął.

Była to aluzja do sposobu usuwania jadu krążącego w moich żyłach. Wciąż jeszcze czułam na skórze łakome dotknięcie jego ust. Co było dla mnie bardziej niebezpieczne? Ukąszenie gada czy człowieka?

- Chodź tu, Franciszko!

Zawahałam się, a może to raczej moje ciało zawahało się przed poddaniem. Ale noc roztaczała swe czary.

Weszłam na czworakach do namiotu.

Płócienna ściana może się stać najbardziej niedostępnym bastionem. Czulałam się całkowicie bezpieczna pod tą naprężoną, oddzielającą nas od świata tkaniną. A kiedy jego namiętność znalazła ujście w miłości i udręczeniu, usnęłam przytulona do niego, z rozkoszą wdychając silną woń wydzielającą się z jego przepoconej kraciastej koszuli.

W świetle księżyca dostrzegłam poprzez impregnowane płótno fantastyczny kształt rosnącej w pobliżu jabłoni. Drzewo przypominało smutną postać starca, który - niczym uczepony drzewca zmoczonej sztandar zwisa z gałęzi, położywszy w ten sposób kres swemu istnieniu.

- Kochasz mnie? - wyszeptał Julian w półśnie.

Przytuliłam się do niego, zwinęłam się w kłębek i odpowiedziałam:

- Tak.

Rozdział X

Obudziliśmy się o świcie, jednocześnie, i uśmiechnęliśmy się do siebie. Kiedy my kochaliśmy się, ziemia zdążyła się obrócić wokół swej osi.

- Co pan teraz zrobi? - zapytałam.

Myślałam o Marcie.

Avène przytulił mnie do siebie.

- Trzeba się temu przyjrzeć z nieco mniejszej odległości, koleżanko. - Pocałował mnie w kark, skronie, a potem w usta. - Wiesz, Franciszko, nigdy nie zapomnę tego małego cyrku, jaki urządziłaś.

- Jaki cyrk?

- Z tym namiotem!

- Ja też - przytaknęłam.

Opuścił nasze wątle schronienie, ale po przekroczeniu namiotowego progu nie wstał. Widziałam, jak przez kilka chwil siedział na piętach, z uniesioną głową. Odniosłam wrażenie, że się czemuś z uwagą przygląda.

- Co tam? - zapytałam.

- Chodź zobaczyć - powiedział nie odwracając się. Podeszłam do wyjścia i zobaczyłam Martę. Stała oparta o jabłoń, obejmując rękami jej pień, i patrzyła na nas ze smutkiem.

Jeszcze się postarzała. Jej twarz była zorana głęboki - ! mi, rzucającymi szare cienie bruzdami. Miała obrzmiałe powieki i zwiotczałe, obwisłe wargi. Nie robiła wrażenia rozgniewanej. Była porażona przez nieszczęście przerastające jej siły.

- Od dawna tu jesteś? - zapytał Julian.

Potwierdziła skinieniem głowy. Avène mówił w normalny sposób, jakby chciał, by sytuacja stała się mniej dramatyczna.

- Czym przyjechałaś?

- Wzięłam taksówkę.

Wstał i podał mi rękę, pomagając mi się podnieść.

- A więc widzisz, Marto, to jest tak: ja ją kocham. Marta poruszyła się. Pomyślał, że chce rzucić się na nas, i obronnym gestem przycisnął mnie do siebie. Ale ona zatrzymała się i powiedziała do mnie coś najbardziej, niepojętego w świecie:

- Ma pani szczęście.

Napłynęły mi łzy do oczu.

- Założę się, że wczoraj natychmiast domyśliłaś się, dokąd jadę? - zapytał Julian.

- Tak, natychmiast.

- I wiedziałaś, że to się tak właśnie skończy?

- Tak.

- Ty wiedziałaś o wszystkim wcześniej niż ja sam, nieprawdaż, Marto?

- Tak.

Oglądała wnętrze namiotu: materac, śpiwór i ogromną lampę, której klosz stłukliśmy podczas naszych swawoli.

- Wiedziałaś też, że zgolisz brodę - powiedziała nie patrząc na swego męża.

- Dlaczego? - zdumiał się.

- Bo musiałaś się odmłodzić. Wszystko, co robiłaś, robiłaś z myślą o niej.

- Przepraszam cię, Marto, i przysięgam, że nie jestem winien temu, co się stało!

- Wiem. Robiłeś, co mogłeś, a ja pomagałam ci ze wszystkich sił, angażując całą moją miłość, by cię obronić przed jej urokiem. Ale czułam, że to się na nic nie zda, Julianie., wiedziałam o tym... Kiedy ją tu zobaczyłam, jak przyjechała ze swoimi walizkami, poczułam się tak, jakby mi zadano cios w samo serce, jakby mi pierś nabijano na pal. W jakimś rozbłysku myśli zobaczyłam wszystko, co miało nastąpić.

- Naprawdę?

- Tak. Patrzyłeś na nią tak, jak nie patrzyłeś nigdy na nikogo. Mimo to próbowałam walczyć. Trzeba było. W pewnej chwili nawet myślałam, że wygrywam, ale później... sam wiesz...

Avène nie płakał, ale czułam, że miota nim rozpacz. Zakaszłał, chcąc uniknąć załamania głosu.

- I co teraz będzie, Marto?

Wreszcie przestała się przyglądać namiotowemu wnętrzu, tej kryjówce zakochanych zwierząt.

- Ależ nic. A co ty chcesz zrobić, Julianie? Nie powiesz mi przecież, że zamierzasz się rozwieść, aby się z nią ożenić?

Spuścił głowę.

- Ona jest, mój chłopcze, o siedemnaście lat od ciebie młodsza. Niech moje szaleństwo będzie ci przestrogą!

A więc chodź, rozpakujemy walizki.

Julian ani drgnął. Chociaż ciągle jeszcze mnie obejmował, czułam, jak uścisk jego rąk rozluźnia się.

- Wszystko, moje dzieci, będzie się toczyć dalej. Będziecie się kochać - jak tej nocy. Tak, to będzie ofiara złożona diabłu! Ale to, że ja będę o tym wiedziała, odbierze waszej przygodzie nieco pikanterii. Ale będzie, jak jest! Pan Julian Avène jest dyrektorem szkoły w Glunois, w departamencie Ardeche. Panna Cassel jest nauczycielką na stażu. W przyszłym roku dostanie zresztą nominację, ot i tyle! Decyduje o tym Akademia, a nie pan Avène. A przecież pan Avène nie potrafi nic poza uczeniem dzieci, zgodzi się na wszystko, bo mężczyzna postawiony wobec konieczności wyboru między swoim zawodem a kochanką zawsze opowie się w końcu po stronie zawodu. We wspólnym interesie będziemy dalej robić swoje. Dalej robić swoje... Dalej robić swoje...

Odeszła w kierunku budynków. Rozległo się kilka uderzeń zegara umieszczonego na dzwonnicy, ale nie przyszło mi do głowy, żeby je policzyć.

- To monstrum - westchnęłam. - Najpierw sądziłam, że ona najbardziej cierpi, ale to nieprawda. Będzie nas trzymała w garści, Julianie. Będzie nas trzymała w garści.

- Pójdę z nią porozmawiać - powiedział, odsuwając się ode mnie.

W rzeczywistości był to jedynie pretekst, którego użył, żeby się z nią zobaczyć. On się nigdy od niej nie uwolni.

Powiedziałam w formie przypomnienia:

- Julianie, kocham cię.

Zrobił potakujący gest, jakby chodziło o pytanie.

Bez brody wyglądał jak duży, zbyt wybujały chłopak. Oddalił się, nieco przygarbiony, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami, strzelając palcami.

Od rana nie pokazał się. Poszłam do wsi i na placu spotkałam doktora. Od czasu mojej anginy widywałam go niekiedy; za każdym razem zatrzymywał swój 4CV, żeby ze mną pogawędzić. Czułam, że ma ochotę umówić się ze mną na randkę. Pewnego czwartku już, już był tego bliski, ale przeszkodził mu pomocnik mera, który podszedł chcąc z nami porozmawiać.

- Dzień dobry, panno Cassel. A więc nie wyjechała pani na ferie?

Odpowiedziałam machinalnie „tak”, a on zrobił wielkie oczy.

- Wyjechałam do Glunois. Jest to zakątek, który bardziej nadaje się do spacerów niż do pracy.

Zareagował śmiechem.

- Czy nie jest pani chora?

- Nie sądzę, a dlaczego, czyżby się pan o mnie niepokoił?

- Trochę. Bardzo źle pani wygląda.

- Przeprocowanie...

Czy nie ma pani podwyższonej temperatury?

Nie mogłam mu wytłumaczyć, dlaczego tak okropnie

wyglądam. Dziewczyna nawet lekarzowi nie może powiedzieć, że właśnie po raz pierwszy spała z mężczyzną.

- Nie.

W jego pocziwym spojrzeniu malowała się prawość i nieśmiałość. Jeszcze raz zadawał sobie pytanie, czy może mi zaproponować spotkanie, nie narażając się na kategoryczną odpawę. Ale jakiś tajemniczy instykt ostrzegł go, że nie jest to odpowiedni dzień.

- A więc do zobaczenia?

- Tak, doktorze, do rychłego zobaczenia.

Z kościoła wychodził kondukt pogrzebowy, a potężny głos żałobnych dzwonów niósł wieść o śmierci. Zatrzymałam się na placu, w cieniu drzew, żeby popatrzeć na karawan, któremu towarzyszyło skrzypienie kół i tłum odświętnie ubranych wieśniaków.

Ceremonia ta nie wywarła na mnie przygnębiającego wrażenia. Choć nie znałam człowieka, którego składano do grobu, nie mogłam opanować uczucia zazdrości wobec niego. Jak to powiedziała przed chwilą Marta? Ach, tak: Ma pani szczęście”.

To ten zmarły „miał szczęście”.

Rozdział XI

Wracałam do mego sadu z dziwną obawą. Szkoła w wilgotnym wiosennym powietrzu wydawała mi się zbyt spokojna, zbyt bezbarwna. Nic nie wskazywało na rozgrywający się w jej murach dramat. Weszłam do namiotu i wzięłam swoją fujarkę.

Zaczęła mi się teraz snuć po głowie druga zwrotka „Hymnu do nocy” wraz z sekwencją dźwięków.

O nocy, która dajesz marzeniom początek,
Osusz łzy, gdy ktoś cierpi, zaszyty w swój kątek.
I okaż mu współczucie chociaż w tej snów porze.

Nie był to już dla mnie „Hymn do nocy”, lecz „Hymn do miłości”.

Ta właśnie melodia towarzyszyła zjawieniu się tu Juliana. Co on teraz robi? Czy moje granie dochodzi do jego skromniutkiego, bezbarwnego mieszkania, takiego, jakie zajmuje uczciwy nauczyciel?

W dalszym ciągu grałam i nuciłam:

Ulituj się w nieszczęściu i długim snem - do dna - Uśmierz ból, nocy czysta, gwiezdna i pogodna.

Czy przyjdzie do mnie po zapadnięciu nocy? Nie śmiałam go oczekiwać, a właściwie nawet nie pragnęłam. Wspomnienie poprzedniej nocy dawało mi pełnię szczęścia.

Z domu wyszła Marta, w rękę trzymała torbę na zakupy. Myślałam, że idzie do wsi, ale skierowała się wprost ku mnie.

- Niech pani weźmie - powiedziała szeptem - to od niego. - Postawiła torbę na trawie i przyglądała mi się przez chwilę. - Niech pani jeszcze zagra - wyjąkała.

Potrząsnęłam głową. Oniemiałam ze zdumienia. To była niebezpieczna kobieta.

- Nie chce pani?

Dlaczego prosi mnie pani, żebym zagrała?

- Chcę zrozumieć to wszystko. Okaleczony człowiek lubi oglądać swoje rany. Czy rozumie pani, o czym mówię?

Ponieważ nie reagowałam, wzruszyła ramionami i zrobiła półobrót. Ale zanim wyszła z ogrodu, odwróciła się.

- Kiedyś znalazłam w tym samym ogrodzie jeża - rzuciła. - Julian był z niego bardzo dumny. A teraz jest dziewczyna, dziewczyna, która ma gołe uda i gra na fujarce, by zwabić mego męża. To jednak straszne.

Musiła go kochać do szaleństwa. Doskonale rozumiałam jej ból i mimo że zawsze czułam do niej antypatię, szczerze jej współczułam.

Kiedy odeszła, otworzyłam torbę. Były w niej dwie butelki wina. U szyjki jednej z nich wisiał liścik przyczepiony gumką. Rozłożyłam go. Przez kratkowaną kartkę, wydartą ze szkolnego

zeszytu, biegly słowa skreślone zwartym, energicznym pismem mojego kochanka (miałam kochanka!):

Nie będę u ciebie dziś wieczorem. Urznię się po raz ostatni. Dotrzymaj mi towarzystwa.

Nie rozumiałam jego ukrytych celów. Nie przychodził, ale ośmielał się obarczać swoją żonę takim zleceniem. Dlaczego odczuwał potrzebę upicia się? Z tchórzostwa? Żeby będąc w stanie upojenia czuć się zwolnionym od konieczności podjęcia decyzji? Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Najłatwiej było podporządkować się jego prośbie. Czyż wina nie używa się do komunii?

Nalałam szklaneczkę i wypiałam jednym haustem, opanowując obrzydzenie. Wino pite o tej porze dnia wywoływało u mnie mdłości. Odczekałam chwilę przed wypiciem drugiej porcji. Było przechowywane w piwnicy i jak na czerwone wino było zbyt zimne, a więc jeszcze bardziej obrzydliwe.

Ależ cóż to szkodziło! Przecież w tym samym momencie Julian pił ten sam napój. Jego pomysł nie był w końcu taki głupi. Marta znakomicie wiedziała, czemu miał służyć ten dziwaczny pomysł. Tego wieczoru ona jedna byłaby trzeźwa. Pod wpływem alkoholu zaświtała mi w mózgu pewna myśl. Ta sama, która przyszła do głowy Julianowi. Pomału dochodziło do mojej świadomości, że nie był to kaprys, ale wprost przeciwnie - świadome, dokładnie przemyślane działanie.

Wypiałam jeszcze jedną szklaneczkę. Wywołała skurcz żołądka, wypity płyn podszedł mi do ust. Dzielnie wychyliłam następną. Za wszelką cenę opróżnić butelkę! Koniecznie! Widziałam, jak stara jabłoń zaczęła się kołysać, a kraniec łąki kręcił się powoli w kółko, niczym jarmarczna karuzela, napędzana przez koślawego konia.

Pić dalej! Pić do utraty świadomości! Pić do utraty przytomności!

Zobaczyłam leżącą na trawie butelkę. Opróżniona, była bardziej zielona niż zieleń trawy. Spróbowałam wstać; nie przyszło mi to łatwo. Szłam po pokładzie statku. Na tym pokładzie był sad. Piękna sprawa! Pływający sad!

Skoro jeszcze mogę chodzić, powinnam uspokoić Juliana,

powinnam iść mu powiedzieć, że zrozumiałam.

Puściłam się w drogę w kierunku zabudowań. Wydawały mi się straszliwie odległe, ukryte w gęstej mgle mego pijackiego upojenia. Okropnie mnie zarzucało. W pewnym momencie klapnęłam wprost na grządkę, na której rosły pory, i zanim udało mi się wstać, połamałam wiele roślin. Niezręcznymi ruchami gniotłam zielone pędy, tak że moje ręce stały się mokre od soku, który miał zapach równie silny jak cebula i wyciskał mi z oczu łzy.

Podwórze nieogarnione niczym Sahara! 2CV, którego szyby połyskiwały pod dachem krytego dziedzińca! Ciągące się wzdłuż muru ubikacje z niskimi daszkami i powyłamywanymi drzwiami!

Julianie!

Mój głos nabrał nosowego brzmienia. Słyszałam go był to typowy głos pijanej kobiety.

Podniesienie wzroku w kierunku pierwszego piętra było prawdziwym wyczynem, bowiem przy tym ruchu miałam trudności nie tylko z utrzymaniem głowy w odpowiedniej pozycji, lecz również co było znacznie gorsze - z zachowaniem równowagi.

Julianie!

To brzmiało jak „nuniwanie” i przypominało krzyk zająca.

- Czego pani od niego chce?

W oknie, za doniczkami geranium, ukazała się Marta Marta odporna, pełna troski, zespółona ze swoim nieszczęściem jak kapitan z idącym na dno statkiem. Marta która potrafiła ukryć swój wstyd, ukryć swą nienawiść Marta, która (powiedziała to) za wszelką cenę chciała utrzymać dotychczasowy stan rzeczy.

- Chcę mu powiedzieć...

- Co?

- Że zrozumiałam - z tym winem.

To był krzyk. Odwróciła się. Julian niewątpliwie był w pokoju. Powiedział coś, czego nie usłyszałam, a co Przekazała mi Marta.

- On pani dziękuje.

- A pani, czy pani zrozumiała?

Odeszła od okna.

- Jestem kompletnie zalana! - krzyczałam dalej. - Kompletnie!
Zaraz pójde wypić drugą butelkę!

Poszłam. Ale najwidoczniej nie dokończyłam jej, bo kiedy obudziłam się nazajutrz, na podłodze namiotu była duża plama z wina. W pierwszym momencie myślałam, że to krew.

Ze stanu nieświadomości wyrwał mnie warkot samochodu. Miałam lekki ból głowy, ale przebudzenie było przyjemne, odczuwałam jedynie okropną czczość w dołku.

Postawiło mnie na nogi świeże powietrze. Wyszłam. W zagłębieniach terenu i między domami snuły się jeszcze resztki nocnego mroku, ale dzwonnica pławiła się już w słońcu, a umieszczony na jej szczycie żelazny kogucik dumnie błyszczał w jego promieniach. Wyleniały 2CV, samochodowy odpowiednik Rosynanta, usiłował wyjechać z krytego dziedzińca.

Wybiegłam z ogrodu i dopadłam go, gdy miał wyjechać z bramy. Za kierownicą siedział Julian, sam.

- Wyjeżdża pan?-wyjakałam, nagle przestraszona na myśl, że być może, opuszcza nas na zawsze, ją i mnie.

Otworzył okno i zablokował je szybkim uderzeniem dłoni.

- Chcesz jechać ze mną?

- Dokąd?

- Na polowanie.

- Na polowanie?

- Wsiadaj!

Usiadłam koło niego. Po raz pierwszy jechałam z nim tym samochodem. Dziwnie tu pachniało. We wnętrzu auta unosiła się woń szkoły, królików oraz Marty. Na podręcznej półeczce pod deską rozdzielczą dostrzegłam całą masę przedmiotów „pierwszej potrzeby”.

- Jak się czujesz, koleżanko?

- Nie tak źle. Spałam chyba ze dwanaście godzin. Jestem zmęczona.

On natomiast był zupełnie wypoczęty. Był starannie ogolony, a na brzegu ucha pozostało mu trochę mydła do golenia.

- Widzisz - powiedział - że nic się nie stało.

- Myślał pan, że ona zabije jedno z nas, prawda?

- Tak.

- I chciał pan, żebyśmy się urznęli, aby jej zostawić całkowitą swobodę działania!

- Przez całą noc miała wolne pole do działania. Dałem jej szansę. Byliśmy oboje, ty i ja, bez świadomości, całkowicie zdani na jej łaskę i niełaskę.

- A teraz?

- Teraz będziemy dalej robić swoje. Ona jest kobietą od dobrych rad, Franciszko, ja jestem panem Avène, ty jesteś panną Cassel. Dwoje kolegów, z których jeden jest zwierzchnikiem drugiego.

Nie wiedziałam, do czego zmierza. Chciałam, żeby mnie wziął w ramiona. Pragnęłam jego ust, jego ciepła, jego nerwowego podniecenia.

- Przeraża mnie pan - powiedziałam.

- Niepotrzebnie, koleżanko.

- Jestem pewna, że...

- Że co?

- Że coś pan szykuje.

Na wiejskim placu wziął ostry zakręt i zatrzymał się przed kawiarnią „Pod Merostwem”.

- Chodź, napijemy się kawy, to nas postawi na nogi.

Gospodyni była zdumiona naszym tak wczesnym przyjazdem. Zobaczyłam swoje odbicie w lustrze umieszczonym przy kontuarze i przeraziłam się! Byłam zielona, miałam pobladłe usta i potargane włosy.

- Nie przebrałam się! Spałam w tym, co mam na sobie.

- No to co? Kichajmy na to, skoro jesteś piękna, a ja cię kocham. Bardzo cię kocham w tej pogniecionej bluzce. Jesteś piękna.

Wypiliśmy kawę przy kontuarze. Przez cały czas ukradkiem mu się przyglądałam. Nie mogłam się przyzwyczaić do jego nowej twarzy. Była ona również nowością dla gospodyni.

- Zgolił pan brodę, panie Avène?

- Mówiąc w tajemnicy - tak!

- Tak jest panu lepiej.

Zacerwienił się i coś mruknął.

- Wygląda pan znacznie młodziej !

Myślała o Marcie. Było to jasno wypisane na jej naiwnej twarzy. Julian dmuchał na zbyt gorącą kawę.

- Wyglądam na syna swojej żony, a teraz będę wyglądał na jej wnuka, racja czy nie?

Wyszliśmy przytuleni do siebie. Jego biodro ocierało się o moje, robił to umyślnie. To już była miłość.

- Ludzie na nas patrzą - wyjąkałam. - Domyślają się czegoś.

Tym lepiej. Niech węższą! Niech się podniecają! Przyjemnie jest podniecać otoczenie.

- Niech pan tak nie mówi.

- Czy mówienie do mnie „ty” sprawiłoby ci przykrość?

Później.

- Czy myślisz, Franciszko, że nadejdzie dla nas jakieś „później”?

- Tak - odpowiedziałam z całą stanowczością. - Tak, Julianie. Tak być musi.

Zaskoczony, zatrzymał się przy swoim samochodzie.

- To prawda, że tak być musi! To prawda ! Jak kobiety świetnie potrafią wybrnąć z sytuacji pozornie nie do rozwiązania. Tak być musi - i koniec!

- Dokąd jedziemy?

- Powiedziałem ci już - na polowanie.

Usiadł na swoim miejscu za kierownicą. Prowadził źle, jak każdy, kto jeździ samochodem od przypadku do przypadku. Pojazd miał czkawkę, szczególnie przy ruszaniu, a za każdym naciśnięciem hamulca rzucało mnie na przednią szybę.

Zamiast zjechać w dolinę, w pobliże Rodanu, Julian posuwał się krętymi drogami, które początkowo biegiły przez winnice, a potem zaczęły gwałtownie piąć się w górę.

Dzień stawał się coraz bardziej upalny, coraz bardziej rozsloneczniony. Widać było, jak nad białymi drogami unosi się, wirując, rozgrzane powietrze.

Julian jeszcze mnie nie pocałował. A nawet o tym nie myślał. Obserwował okolicę niczym przygotowujący manewry oficer sztabu generalnego. Niezadługo miałam się dowiedzieć, że tego

ranka rzeczywiście chodziło o manewry.

Przebyliśmy wiele kilometrów. Teren stawał się coraz bardziej nieurodzajny i bezludny.

- Dokąd my w końcu jedziemy?

- Do diabła, Franciszko! Zaraz zobaczysz.

Znajdowaliśmy się u podnóża pagórka. Biegła stąd

ścieżka z głębokimi koleinami, prowadząca do strumienia, którego brzegi wytyczały dwa rzędy drzew. Wały się tu pnie, których wywiezieniem, mimo iż dużo czasu upłynęło od wyrębu drzew, nikt się dotąd nie zajął. Julian wjechał na tę ścieżkę, a następnie, za zakrętem, kiedy straciliśmy z oczu główną drogę, zjechał na łąkę i wyłączył silnik. Głęboką ciszę natury zakłócał jedynie szum strumienia i brzęczenie owadów; było to zresztą nie tyle zakłócenie, co swego rodzaju akompaniament. Te dźwięki znakomicie harmonizowały z panującym tu spokojem.

- Widzisz, Franciszko, Pan Bóg to jest właśnie to! - Okrągłym gestem wskazał jałową okolicę, niebo, drzewa... - Nie ma go w świątyniach, on jest tu! A kiedy znajdujemy się wśród tych wspaniałości, sami stajemy się Panem Bogiem.

Wziął mnie pod ramię, a ja, przytulona do niego, pozwoliłam się prowadzić, nareszcie usatysfakcjonowana tym prostym gestem.

- Pocałuj, Panie Boże, Franciszkę, bo zbyt długo z tym zwlekales!

Tak mocno Wpił mi się w moje wargi, że zębami miażdżył mi dziąsła. Poczułam w ustach smak krwi, spijał ją z tą swoją drapieżną zachłannością dzikiego zwierzęcia, która przyprawiała mnie o drżenie.

Blisko godzinę spędziliśmy w aucie, z cudowną niezręcznością łącząc się w uścisku. Julian był w miłości niedoświadczonym i brutalnym chłopcem. To właśnie ta pełna zapalczywości namiętność czyniła go prawdziwie młodym.

Kiedy wysiadł z samochodu, obszedł go dookoła, by pocałować mnie przez drugie drzwi.

- Franciszko - powiedział zanurzając dłonie w moich włosach

- jednego jestem pewien, że nie można bardziej kochać kobiety.

- Przymknął oczy. - Kiedy podnosi się kurtyna, mężczyzna jest

na scenie sam. Stoi bez ruchu, bez słowa. Ale publiczność czeka. Publiczność wie, że za chwilę coś się będzie działo. Patrzy z ufnością, zaraz wejdzie ktoś, kto stanie się wydarzeniem w życiu mężczyzny. A tym kimś będzie kobieta. Bo wydarzeniem, jedynym wydarzeniem w życiu mężczyzny może być tylko kobieta! Kocham cię, moje ty piękne wydarzenie! Żałuję, że jestem tylko tym, czym jestem. Bogu powinno być wstyd, że zezwolił na to, by siedliskiem tak pięknych uczuć były tak nędzne ciała.

Jeszcze raz mnie pocałował, a potem poszedł otworzyć bagażnik samochodu, wyjął stamtąd parę długich gumowych butów, skórzane rękawice, wiaderko na ryby - z cynkowej blachy, z dziurkowaną pokrywą - i na koniec miedziane szczypce, jakich używa się do poprawiania ognia na kominku. Włożył buty, wciągnął rękawice, a szczypce — niczym parodię miecza - zatknął za skórzany pas.

- Dokąd idziesz, Julianie?

Byłam pod wrażeniem niecodzienności tego ekwipunku.

- Zaczekaj tu na mnie.

- Nie, odpowiedz mi na pytanie.

- Nie mogę, Franciszko. W imię naszej miłości, nie zadawaj mi żadnych pytań.

Wielkimi krokami szedł przez zrudziałe pole. Pod gumowymi podeszwami chrzęściła krótka trawa, szorstka niczym źdźbła słomianej maty. Julian schodził w kierunku strumienia. Wsiadłam z samochodu i weszłam na łąkę. Nie za daleko jednak, bo bałam się węży.

I tu przyszło olśnienie. Juliannie skłamał, rzeczywiście szedł na polowanie. Na polowanie na żmije. Nie miałam odwagi zrozumieć. Miałam kompletny chaos w głowie. Widziałam, jak ostrożnie idzie brzegiem strumienia. Szedł po cichu, pochylony, z miedzianymi szczypcami w ręku. Oddalał się powoli, a jego posuwisty chód przypominał ruchy gada. Przesłoniły mi go olchowe krzewy. Wróciłam do samochodu i usiadłam na drodze, opierając się plecami o tylne koło. Tylko samochód mógł mi tutaj dostarczyć odrobiny cienia. Ale robiło mi się niedobrze od zapachu benzyny i spalonej gumy. Miałam

też lekkie zawroty głowy z powodu upału. A poza tym byłam wykończona miłością.

Nagle zobaczyłam w dali Juliana biegnącego wielkimi susami nad strumieniem. Wyraźnie widziałam, że w szczypcach trzyma gada. Myślałam, że zwymiotuję z obrzydzenia. To polowanie było nie do zniesienia. Przez chwilę szamotał się ze swoją zdobyczą. Widocznie miał trudności z włożeniem żmii do wiaderka na ryby. Wreszcie mu się udało i zobaczyłam, jak idzie w moją stronę, okropne wrażenie zrobił na mnie malujący się na jego twarzy wyraz triumfu.

W lewej ręce - dokładnie pionowo trzymał swoje wiadro. Wydobywały się z niego budzące grozę odgłosy - sprężysty, śliski gad miotał się jak szalony. Staralam się nie myśleć o tym, jak obrzydliwie zwija się i kłębi.

- Widziałas, jak ją łapałem? - zapytał.

- Tak.

- To nie takie proste. Leżała koło pniaka, wygrzewając się na słońcu. Zanim sięgnąłem szczypcami, już uciekała w kierunku wody.

- Julianie, boję się.

Nic się nie bój. Widzisz, że pokrywa jest dobrze zamknięta, żmija w żaden sposób nie może uciec.

- Mimo wszystko boję się.

- To na pewno przykre.

- Po co schwytałeś tę żmiję?

Spojrzał mi prosto w oczy.

Przecież domyślasz się.

To było coś więcej niż domysły. Ja wiedziałam.

- Nie możesz tego zrobić!

- Mimo wszystko zrobię to. Daliśmy jej owej nocy szansę, ale z niej nie skorzystała. Teraz nasza kolej...

- Ale to niemożliwe, Julianie!

- Pozostaw to mnie. Nie zadawaj pytań. O niczym nie wiesz. Żyjesz i kochasz mnie. Jesteś mi posłuszna. Widzisz, jakie to proste. Reszta należy do mnie.

Schował cały swój sprzęt do bagażnika i puściliśmy się w drogę powrotną. Niekiedy dochodziły do mnie odgłosy uderzeń

ogona żmii o blaszane ścianki cynkowego wiadra. A kiedy nic nie słyszałam-, myślałam, że udało jej się uciec, i zdawało mi się, że czuję na nogach jej lodowaty dotyk. Wzdrygnęłam się gwałtownie, jak ktoś, kto chce uciec od prześladowającego go nocnego koszmaru.

Bo czyż to wszystko nie było koszmarnym snem?

Rozdział XII

Nie wiem, gdzie Julian ukrył żmiję, ale w ciągu następnych dni nie było o gadzie mowy. Mimo to była przerażająco obecna w mojej świadomości, zdawało mi się, że na każdym kroku mogę się na nią natknąć. Muśnięcie owada pobudzało mnie do krzyku, a szmer poruszanych przez wiatr źdźbeł trawy przyprawiał o długotrwałe odrętwienie.

W jaki sposób Julian zamierzał jej użyć? Wysilałam wyobraźnię, nieprzytomna ze zdenerwowania. Powodzenie jego planu było uwarunkowane niemożnością udzielenia Marcie pomocy. To wcale nie było takie proste. To było morderstwo. Morderstwo z premedytacją, będące jednak zbrodnią doskonałą. Nie miałam wyrzutów sumienia, a to z bardzo prostego powodu sama również zostałam ukąszona przez jedno z tych obrzydliwych stworzeń.

Skoro więc byłam narażona na tego typu niebezpieczeństwo, skoro przeżyłam chwilę piekielnego strachu, niech to wszystko stanie się również udziałem Marty.

Patrząc z perspektywy czasu, nie potrafię obronić tego pokrętnego i absurdalnego rozumowania, ale wówczas sprawa była dla mnie jasna jak słońce.

W dniu polowania na żmije przeszła wieczorem potężna burza. Po raz pierwszy w tym roku odezwały się grzmoty. Pośpiesznie, już w strumieniach deszczu, zwinęłam z pomocą Juliana swój namiot.

W głębi duszy byłam zadowolona z powrotu do mieszkania. Odczuwałam potrzebę przebywania w pobliżu Juliana. Miła mi była myśl, że znajduję się pod tym samym co on dachem i że

odgradzają nas od siebie tylko dwie mizerne ścianki.

Przyszedł do mnie wieczorem, ale nie został. Nie pocałował mnie, a wychodząc powiedział tylko „dobranoc”. Przez kilka minut, które spędził w mojej kuchni, wpatrywał się we mnie uporczywie. Poruszał przy tym bezgłośnie wargami, zupełnie jak rankiem w dniu swego wyjazdu, kiedy mnie dostrzegł za zamgloną szybą okienną.

Upłynęły trzy dni. Dni niezwykle - z ulewami, przejaśnieniami, piorunami, którym nie towarzyszył deszcz, i nieznośną duchotą w powietrzu. Nie opuszczałam mieszkania, żywiąc się konserwami i czystą wodą, oczekiwałam potajemnych wizyt mego kochanka.

Wpadał nagle, Stawał w odległości dwóch kroków i uparcie się we mnie wpatrywał. Potrzebował „doładowania” energii. Moje spojrzenie pobudzało jego aktywność; odchodził tak, jak przychodził, rzucając krótkie „do zobaczenia, moje kochanie”.

W ich mieszkaniu było stale włączone radio. Kontakt ze światem był im najwidoczniej potrzebny do rozładowania atmosfery ich domu.

Żałowałam, że ferie wielkanocne jeszcze się nie skończyły. Gdyby szkoła funkcjonowała normalnie, tkwilibyśmy w zwykłych zajęciach, a nasze myśli zajęłyby dzieciaki. Ale od rozpoczęcia lekcji dzieliły nas jeszcze długie, nie kończące się dni. Byliśmy skazani na przeżywanie dramatu naszego trójkąta. W takiej sytuacji atmosfera dużego, pustego gmachu szkolnego stała się niezdrowa, a nam mąciło się w głowach.

Rankiem czwartego dnia pojawiła się Marta, której nie widziałam od czasu mego zalania się. Weszła do mnie, uprzednio zastukawszy, tak jak to robiła dawniej.

Jej twarz odzyskała dawny koloryt i blask. Pani Avène miała na sobie znowu swój różowy peniuar, a na ustach dwa śmieszne przecinki namalowane szminką kupioną w wiejskim sklepiku. Wyraz jej twarzy był nieprzenikniony - oscylował od wyszukanej grzeczności do ironii pokrytej uśmiechem.

Poczułam ukłucie w sercu. Wiedziałam, że to nastąpi właśnie teraz.

- Przychodzę z polecenia Wielkiego-Wszechmocnego-

Mistrza, ażeby pani zaproponować udział w pikniku!

Mój instynkt mnie nie omylił. To miało nastąpić właśnie teraz.

Słowo „piknik” brzmiało w ustach tej starej damy tak zabawnie, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Widzę, że pani reakcja jest taka sama jak moja - powiedziała - ale jeśli chodzi o naszego Juliana, niczemu nie należy się dziwić. Widzi pani, panno Cassel, nie chciałabym pani do niego zniechęcać, używając nieeleganckich metod, ale niekiedy zadaję sobie pytanie, czy jest w pełni władz umysłowych.

- Gdyby był szalony, kochałabym jego szaleństwa tak samo, jak i pani by je kochała, pani Avène.

Zamknęła na chwilę oczy.

- Wydaje mi się, że teraz, kiedy wiem, jak bardzo panią kocha, trochę mniej panią nienawidzę - szepnęła. Następnie, chrząknawszy, by jej głos zabrzmiał normalnie, dorzuciła: - A więc jesteśmy umówieni? Jedziemy poszaleć wśród pól?

- Zgoda.

- A więc jesteśmy umówieni? Jedziemy na wyżerkowe szaleństwo, wie pani!

Są ludzie, którym na zestarzenie się potrzeba pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu lat. Wydaje mi się, że ja stałam się stara w ciągu tego jednego dnia.

Naprawdę stara.

Stara na zawsze.

Siedziałam na tylnym siedzeniu 2CV. Ponieważ w tego typu pojazdach te miejsca są wyższe niż fotele w przodzie, obserwowałam małżeństwo Avène'ów z pewnej perspektywy, z góry; dostarczało mi to tematu do rozmyślań. Nigdy dotąd Julian nie wyglądał równie młodo, a Marta nigdy nie wydawała mi się tak stara. Jechaliśmy wyboistymi drogami we czworo - Marta, Julian, żmija i ja. Bo chociaż wśród przedmiotów, które zabraliśmy ze sobą, nie zauważyłam wiaderka z blachy cynkowej, dochodzące mnie odgłosy świadczyły o obecności gada. Od czterech dni miotał się zapewne w swym metalowym

zamknięciu, kłębił się, obijał o zaokrąglone ścianki pojemnika, wyciągał rozwidlony język w kierunku otworków pokrywy. Jak to było możliwe, że Marta nie usłyszała tych przerażających odgłosów? Chyba że zginęły w zgrzycie wszystkich zespołów 2CV.

Jechaliśmy bardzo długo, dłużej i dalej niż w dniu schwytania żmii, przez tereny bardziej opuszczone. Miękkie zawieszenie samochodu sprawiało, że podskakiwałam wraz z nim na swym siedzeniu niczym piłka podbijana rakieta.

- Czy daleko zamierzasz tak jechać - zapytała Marta, która dotychczas nie powiedziała ani słowa. - Ponieważ nie odpowiedział, zadała pytanie godne Sybilli: - Czy to jeszcze za mało?

Obserwowałam Juliana w lusterku wstecznym. Od czasu do czasu wymienialiśmy za pośrednictwem tego zwierciadlanego paska płomienne spojrzenia. Po tej uwadze swojej żony skierował wzrok na mnie. Był poważny i napięty.

- Jak chcesz, Marto.

- Ach, ja... Dobrze wiesz, że ja chcę tego, czego ty chcesz!

Jaki miał być dalszy bieg wypadków? Taką sytuację można określić jako „zawiśnięcie w próżni” : wiedzieć, że za chwilę stanie się coś ważnego, ale nie orientować się, w jaki sposób to nastąpi.

Samochód podskakiwał teraz na wyboistej drodze, a właściwie koleinie wyłobionej przez często przejeżdżające tędy wozy. Prowadziła w kierunku poręby, z której drzewa zostały zużyte przez fabrykę papieru; powstał tu rodzaj gaju, w którym rosły krzewy mącznicy, karłowate dęby i krzaki werbeny.

- To dobre miejsce na piknik - stwierdził Julian.

Sceneria była zupełnie nierealna, a nierealna była dlatego, że od początku do końca była fałszywa. Sytuacja, osoby, ich słowa i sposób mówienia - wszystko to było fałszywe. Udawaliśmy, że jesteśmy silni, że się nie boimy, że panujemy nad sobą.

- Czy chcesz, Julianie, żebym rozpakowała koszyki?

- Jak chcesz, Marto.

Zadrżałam. Może zaraz znajdzie żmiję? Otworzy pojemnik, w

którym miota się gad? Ale wówczas żmija nie ukąsiłaby jej śmiertelnie.

- Czy zechce mi pani pomóc, panno Cassel?

Dzwoniłam zębami z przerażenia. Tymczasem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, w bagażniku nie było nic poza koszykami z żywnością, kołem zapasowym i pudłem z narzędziami.

Może Julian schował żmiję pod jednym z siedzeń?

Zajrzałam tam dyskretnie, ale nic nie znalazłam. A więc odgłosy szamotania się żmii były wytworem mojej wyobraźni!

Uspokojona, pomogłam Marcie w ułożeniu wiktuałów na dużej, specjalnie do tego celu przeznaczonej ceracie.

Nie patrzyliśmy na siebie. Czułam się srodze zawiedziona. A więc to był naprawdę piknik. Nie miałam ochoty na piknikowanie w tej przygńbiającej atmosferze. Nie miałam ochoty na otrzymanie z rąk żony mego kochanka skrzydełka zimnego kurczaka.

Mimo to zabraliśmy się do jedzenia.

Był to najbardziej ponury posiłek w moim życiu.

Przez połowę tej biesiady nikt nie pisnął słowa. Każde z nas unikało wzroku dwojga pozostałych; słyhać było tylko odgłosy towarzyszące jedzeniu. Wreszcie Julian zaczął mówić. Przyszło mu to z trudem, po kilku daremnych próbach.

- Franciszko... Czy sprawiłoby pani przykrość... złożenie wniosku o przeniesienie?

Marta nie podniosła głowy, ale widziałam, że zeszywniała. Chociaż pytanie mego kochanka mogło mi się wydać niepokojące, ani na chwilę nie zmąciło mego spokoju. Natychmiast pojęłam, że jest jednym z elementów podstępnego planu obmyślanego przez Juliana. Za leżało mu na drobiazgowej jego realizacji, czego dowodem był fakt, że nie uprzedził mnie o tym, co zamierza powiedzieć. Chciał, żebym zareagowała w sposób całkowicie spontaniczny.

- Natychmiast? mruknęłam po chwili namysłu.

Tak, natychmiast. Z różnych względów uważam,

Franciszko, że będzie lepiej, jeżeli nie będziemy pracowali w tej samej szkole.

Na pewno.

Marta wciąż milczała. Pewnie zastanawiała się, czy Julian jest szczerzy. Sprawa była dla niej niejasna, toteż czekała na dalszy ciąg, by zdecydować się, co ma o niej myśleć.

- Mówię to pani przy Marcie, będę panią odwiedzał, kiedy już tu pani nie będzie. Ale wówczas nasze stosunki nie będą tak zenujące jak obecnie, racja czy nie?

Jeden z jego ulubionych zwrotów: „Racja czy nie?” Wymawiał te trzy słowa tylko jemu właściwy, gwałtowny sposób.

- Racja, Julianie.

- Przy utrzymaniu tego stanu rzeczy „Marsjanie” czegoś by się w końcu domyślili. Te diabły mają lisi węż.

I wszystko wzięłoby w łeb. - Po chwili zwrócił się do swojej żony: Jakie jest twoje zdanie, Marto?

- Nie mam zdania. A przynajmniej nie czas o nim teraz mówić.

Nie nalegał.

- A zatem jutro udamy się - pani i ja - do Akademii. Przygotujemy dla tych panów jakieś piękne kłamstewko, tak żeby przeniesienie zostało załatwione podczas tych ferii, zgoda?

- Zgoda!

- To wszystko, co chciałem wam powiedzieć. Do tego był mi potrzebny ten piknik. Niewskazane było spotkanie u jednej czy drugiej strony. Niezbędny był teren neutralny, rozumiecie.

Żadna z nas nie zareagowała. Ja na coś czekałam.

Marta namyślała się. Wyglądało na to, że wierzy swojemu mężowi. Rozważała propozycję. Przez pewien czas panowała tak głęboka cisza, że nawet ćwierkanie ptaków przestało docierać do mojej świadomości.

Było gorąco, lecz nie ponad miarę, a szare chmury, pozostałości niedawnych burz, kołysały się na tle nieba niczym balony na uwięzi. Marta chowała naczynia i resztki jedzenia. Nie miałam odwagi zaofiarować się jej z pomocą. Klęcząc na ceracie, robiła to powoli, z precyzją doskonałej gospodyni. Zawijała kielbasę w metalową folię, wkładała resztki kurczaka do plastikowego pudełka, owijała chleb w czystą serwetkę...

Julian podniósł maskę swojego 2CV i coś majstrował przy

silniku. Pomyślałam sobie, że najwięcej mają do roboty przy samochodzie ci, którzy rzadko go używają.

I wtedy to się stało. Ale zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam na początku dnia Julian zbliżał się do nas z wiaderkiem na ryby w rękę, zasłaniając je częściowo prawą nogą. Do zamka pojemnika przyczepiony był sznurek. Idąc Julian patrzył na mnie. spojrzeniem błagając o spokój. Na jego twarzy malowała się obojętność, był nieco blady, szczęki miał zaciśnięte, lecz robił to, co chciał zrobić, i nic nie mogłoby mu w tym przeszkodzić. Zatrzymał się za plecami swojej żony. Podniósł wiaderko na wysokość głowy Marty i lekko przechylił je nad jej lewym ramieniem. Następnie z prawej strony pociągnął za sznurek.

Serce mi waliło jak młotem. Zdawało mi się, że jego szaleńcze uderzenia są słyszalne wiele kilometrów stąd. Marta musiała być zupełnie głucha, żeby nie przestraszyć się jego łomotu.

Zobaczyłam, jak unosi się pokrywa. Z pojemnika wysunęło się coś ruchliwego, pokręconego i oślizłego. Żmija upadła na ramiona Marty, okręciła się dookoła jej szyi, następnie jednym rzutem ciała rozprężyła się i spadła na ceratę.

Wrzasnęłam z przerażenia i puściłam się biegiem przed siebie.

Już nie pamiętam, czy Marta krzyczała. Nic nie słyszałam. Podniosła się z klęczek, trzymając się za szyję. Była sina.

A Julian krzyczał i szalał. Z wściekłością walił gada obcasami. Długi ogon zwierzęcia objął się o welwetowe spodnie. Avène obrzucał węża inwektywami. To mu dawało czas na wzięcie się w garść, na opanowanie nerwów, którym i on dał się ponieść.

Wreszcie żmija była martwa. Zwijała się na ceracie w ostatnich skurczach.

- Czy cię przynajmniej nie ukąsiła? - spytał Martę.

Marta przez cały czas trzymała się swą kościstą ręką za szyję.

- Chyba tak.

Wpatrywała się w porzucone na trawie wiaderko z cynkowej blachy. To był straszliwy oskarżyciel.

- Zbliżałem się z moim wiaderkiem, żeby... - Nie wiedział, co powiedzieć. Zamilkł. - A później... zobaczyłem tę żmiję...

- Brała rozpęd, żeby skoczyć na mnie z góry? - zapytała Marta. Jej spokój robił niesamowite wrażenie. Z nas trojga ona jedna zachowała przytomność umysłu i nie straciła panowania nad sobą.

- Aleja...

Och, nie zadawaj sobie przynajmniej trudu na wymyślanie w tej chwili jakichś historyjek. Podejrzewam, mój biedny Julianie, że przyszło ci to z niejakim trudem!

Przez cały czas nie odejmowała ręki od szyi. Byłam pełna podziwu dla jej odwagi.

- Mimo wszystko jesteś miły. Na wstępie historyjka o zmianie posady, historyjka, którą wymyśliłeś po to, by dać mi trochę szczęścia, zanim mnie zabijesz...

Mimo wszystko dziękuję ci, Julianie. Dziękuję...

Marto! Nie!

Podeszłam do niej.

Niech pani pokaże ukąszenie!

Popatrzyła na mnie zimno, bez nienawiści. Potem odjęła rękę. Na jej szyi, poniżej ucha, widniała fioletowa plamka. W samym jej środku był otworek koloru szminki do ust, z którego wydobywała się kropelka obrzydliwej cieczy.

- Nie można mi założyć na szyję opaski uciskowej - powiedziała - a skoro żadne z was dwojga nie wysię jadu...

I o tym też wiedziała! Nasi uczniowie niewątpliwie opowiedzieli jej przebieg wypadku.

Julian odwrócił głowę. Zacisnął pięści. To do niego należała decyzja. Wszystko potoczyło się tak, jak zaplanował, nie przewidział tylko jednego: takiego zachowania Marty! Gdyby była przerażona, wszystko byłoby bardzo proste. Ale ona - wprost przeciwnie - zachowała spokój. Miała nad nami przewagę.

Zamknęła oczy.

- Pani Avene, proszę mi pozwolić wysssać ranę.

Podeszłam do niej. Byłam gotowa poświęcić się. Mimo niewypowiedzianego obrzydzenia chciałam wysssać jad. Ale kiedy znalazłam się tuż przy niej, uderzyła mnie w twarz. Z całej siły. Wydawało mi się, że moja głowa potoczy się na trawę.

- Marto! krzyknął Julian.

Marta spiorunowała go wzrokiem. Zamilkł, znieruchomiały. Rozcierałam sobie policzek, patrząc na martwego gada. Prawie się już nie poruszał. Widać było jeszcze jakby lekkie drżenie na końcu ogona, to wszystko.

- Chodź, Marto, pojedziemy do apteki.

- Myślisz?

- Pośpieszmy się. Trzeba szybko działać.

Przyjedziesz za późno...

- Ależ nie! Jesteśmy zaledwie trzydzieści kilometrów od najbliższej wsi. No już, chodź prędko!

Zawahała się, po czym poszła w kierunku samochodu. Usiadła tym razem na tylnym siedzeniu, a ja zajęłam miejsce na przodzie, obok Juliana.

Rozdział XIII

Julian przyciskał gaz do dechy. I gdyby nie to, że samochód trzymał się znakomicie drogi, sto razy rozbilibyśmy się o kamienie, którymi wyłożone były jej strome obrzeża.

Nic nie mówiłam. Byłam spokojna. Ten policzek Marty ukoił moje nerwy i uciszył wyrzuty sumienia. Odwróciłam się, żeby na nią popatrzeć. Siedziała skulona w kącie samochodu i przyciskała do miejsca ukąszenia tampon z chusteczki do nosa.

Dojechaliśmy do skrzyżowania dróg. Biegąca w lewo prowadziła do okolic bardziej zaludnionych, idąca zaś w prawo – odwrotnie – ginęła w zaroślach, za którymi nie wiadomo co się kryło.

Julian bez wahania skręcił w prawo. Zwróciłam ku niemu głowę, a on, będąc tego świadomy, siedział prosto, twarzą zwrócony w kierunku jazdy. Spojrzałam z kolei na Martę. I ona także spostrzegła, że jedziemy w niewłaściwym kierunku. Jej spojrzenie ożywiło się. Było twarde i pełne smutku oraz tak głębokiej pogardy, że zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Julian przejechał jeszcze sto metrów - żadne nie powiedziało ani słowa - następnie stwierdził ze złością:

- Pomyliłem się.

Zahamował i usiłował zawrócić, wykonując półobrót na pełnej wyrw drodze. Manewr został wykonany niezręcznie i prawe koło „dwukonki” wpadło w wyrwę.

Stok obniżał się dość łagodnie w kierunku rosnących w pobliżu świerków. Koło zaczęło buksować, samochód zarzucił i Julian zsunął się ze stoku. Zaczęłam krzyżeć, chociaż wiedziałam, że nie ma powodu do strachu. Stromizna nie była aż tak duża, by groziła wywróceniem się samochodu. A że jechaliśmy z umiarkowaną prędkością, nawet uderzenie w drzewo nie mogło być groźne w skutkach. Mimo to bałam się. Bałam się, bo ten wypadek był spowodowany umyślnie. Realizowałam cel Juliana. A on chciał w naturalny sposób unieruchomić samochód, byśmy nie mogli dowieźć Marty do zbawczej surowicy.

Samochodzik tańczył po trzęsawisku. Wrzosowa gleba zapadała się pod jego ciężarem. Zmiotaliśmy kępy janowca, a drobne gałęzie rysowały karoserię. Marta nie odezwała się. Zdawało mi się, że to wszystko trwa w nieskończoność. Wreszcie nastąpiło bardzo gwałtowne uderzenie, do którego jednak zdołałam się przygotować, wpierając się z całej siły w siedzenie. Samochód uderzył w świerk. Zobaczyłam, jak drzewo druzgocze maskę i zbliża się na odległość zaledwie kilim centymetrów do przedniej szyby, która nie wiadomo dlaczego nie rozbiła się. Uderzyłam się o krawędź drzwi samochodu i poczułam, jak mi na głowie rośnie guz.

- Katastrofa! - zawołał Julian - Zarzuciło mnie! - Usiłował otworzyć drzwi, ale zostały wgięte w wyniku kolizji. - Czy może pani, Franciszko, wysiąść na swoją stronę?

Nikt nie odpowiedział.

Wysiadając rzuciłam pełne przerażenia spojrzenie w kierunku Marty, wyglądała dziwnie - miała otwarte usta, a w oczach czaiła się jakaś tajemnicza stanowczość. Julian zamierzał przesunąć się na moje miejsce, by wyjść przez nie uszkodzone prawe drzwi.

Rozległy się dwa wystrzały. Samochód wypełnił się dymem. Julian wykonał jakiś dziwny podskok: ręce wyciągnął przed

siebie, w kierunku kierownicy, i wczepiwszy się w nią, włączył klakson, którego krótki ryk odbił się echem po zaroślach. Spośród młodego listowia uleciały ociężałym lotem ptaki.

Nie rozumiałam, co się stało. Patrzyłam na Juliana, który bezwładnie osunięty, spoczywał bokiem na kierownicy, niczym strudzony pracą drwal. Patrzyłam na Martę, która wciąż jeszcze trzymała w ręku stary pistolet, przystosowany do przytroczenia go do siodła; pamiętałam go z ich mieszkania, gdzie królował wśród arsenału fajek.

Julian spróbował dosięgnąć prawą ręką pleców, jak gdyby chciał wyrwać tkwiącą w nich strzałę.

Marta odłożyła na bok pistolet i zaczęła głaskać męża po karku, jęcząc żałościwie:

- Julianie! Ach! Julianie...

Ogarnęła nas głęboka cisza leśnej świątyni.

Moje stopy grzęzły w wilgotnym mchu. Od czasu do czasu odłamywała się od drzewa jakaś martwa gałąź - zmarła naturalną śmiercią - i spadała na ziemię.

- Julianie! Julianie!

To był krzyk rozpacz. Nic nie mogłam dla niego zrobić. Wszędzie było za daleko. Nie istniała żadna możliwość sprowadzenia na czas pomocy. Pomocy, której Julian chciał pozbawić swoją żonę, a teraz umierał jako ofiara własnego podstęp.

Wzrok Marty zmusił mnie do milczenia. Zrozumiałam, że w tych ostatnich chwilach powinni pozostać sami.

Usiadłam na elastycznym jak gąbka mchu. Słyszałam niewyraźny szepc Marty:

- Tak było trzeba, mój maleńki. Skoro kochałeś ją tak bardzo, że postanowiłeś mnie zabić, nie mogłam cię zostawić z nią samego. O! to nie z zazdrości, lecz z miłości. Nie chcę, żebyś był nieszczęśliwy. Ona nie kocha cię prawdziwie. To dzieciak, rozumiesz? To po prostu mała dziewczynka, niewiele starsza od twoich uczniów. Kiedyś stanąłbyś samotny w obliczu popełnionej zbrodni... Julianie! Julianie!

Teraz ona krzyczała z rozpacz.

Zerwałam się na równe nogi. Julian osunął się na siedzenie.

Na jego twarz padał promień słońca i dopiero w jego świetle spostrzegłam ślad po zgolonej brodzie. Skóra w tym miejscu była blada, odbijając od opalenizny pozostałej części.

- Niech pani powie, czy on nie żyje? Czy on nie żyje?

Przesunęłam ręką po jego biednej, udrczonej twarzy.

Na jego rozpalonym czole pozostało wspomnienie życia i naszej miłości.

Tak, on nie żyje. Ale pani nie umrze, pani Avène.

Patrzyła na mnie nic nie rozumiejąc.

- Julian pomylił się. Złapał zaskrońca żmijowego, a nie żmiję.

Co pani mówi?

Prawdę, przysięgam. Zabiła go pani bez powodu. Zabiła go pani bez powodu. Jest pani morderczynią! Kiedy zobaczyłam węża, stwierdziłam, że to zaskrońiec. *Natiix viperinus*. Nic nie powiedziałam, bo chciałam, żebyśmy wreszcie odjechali. Ta wyprawa we troje była nie do zniesienia. To był zaskrońiec! Przysięgam pani! Ach! Ach! Ma taki sam kolor i taki sam rysunek jak brunatna żmija, ale źrenice okrągłe, a nie w kształcie pionowej szpary. - W obliczu zwłok mego zamordowanego kochanka zacytowałam fragment z podręcznika przyrody. - Ogon zaskrońca zwięza się stopniowo, inaczej niż ogon żmii, który zwięza się raptownie". Julian pomylił się! Pomylił się!

Rzuciłam się do ucieczki, biegłam przez las, potykając się o porośle mchem pniaki, płosząc ptactwo, łamiąc spróchniałe gałęzie.

To morderstwo! Ona i tak by nie umarła! Ona i tak by nie umarła!

A dźwięczne echo powtarzało w tym nieprzyjaznym lesie:

- ...nie umarła, nie umarła...

Przepraszam, Panie Sędzio, że to zeznanie jest tak długie, proszę też o wybaczenie mi niekonsekwentnego użycia czasów. Aby zdać relację z takiego jak to wydarzenia, trudno wybierać między czasem dokonanym a niedokonanym: jest to sprawa impulsu.

Myślę, że teraz, znając całość wydarzeń, będzie Panu łatwiej prowadzić proces pani Avène.

Julian powiedział:

„Kiedy podnosi się kurtyna, mężczyzna jest na scenie sam. Stoi bez ruchu, bez słowa. Ale publiczność wie, że za chwilę coś się będzie działo. Zaraz wejdzie ktoś, kto stanie się wydarzeniem w życiu mężczyzny”.

Tak właśnie mówił. Czy Pan sobie przypomina?

A ja dopowiadam:

„Kiedy kurtyna opada, dziewczyna jest na scenie sama. Stoi bez ruchu, bez słowa. Ale publiczność wychodzi, bo wie, że już nic się nie będzie działo. Wie, że nikt nie wejdzie, w życiu dziewczyny bowiem wszystko się zakończyło”.

To wszystko, Panie Sędzio.

Franciszka Cassel

– Wiesz, Franciszko, nigdy nie zapomnę tego małego cyrku, jaki urządziłaś.

– Jaki cyrk?

– Z tym namiotem!

– Ja też – przytaknęłam.

Opuścił nasze wątle schronienie, ale po przekroczeniu namiotowego progu nie wstał. Widziałam, jak przez kilka chwil siedział na piętach, z uniesioną głową.

Odniosłam wrażenie, że się czemuś z uwagą przygląda.

– Co tam? – zapytałam.

– Chodź zobaczyć – powiedział nie odwracając się.

Podeszłam do wyjścia i zobaczyłam Martę. Stała, oparta o jabłoń, obejmując rękami jej pień, i patrzyła na nas ze smutkiem.

Jeszcze się postarzała. Jej twarz była zorana głębokimi, rzucającymi szare cienie bruzdami. Miała obrzmiałe powieki i zwiotczałe, obwisłe wargi. Nie robiła wrażenia rozgniewanej. Była porażona przez nieszczęście przerastające jej siły.

– Od dawna tu jesteś? – zapytał Julian.

Potwierdziła skinieniem głowy.